

nr 3-4/2024

- 3 Laur olimpijski
- 4 Olimpijskie medale dla polskich artystów
- 5 OLIMPIADA
- 8 Olimpijczycy polscy
- 10 Prześladowanie Sinti i Romów w Niemczech nazistowskich w latach 1933 –1945
- 12 KALEJDOSKOP HISTORYCZNO – POLITYCZNY
- 14 Niegroźne dziwactwo czy poważne niebezpieczeństwo?
- 16 Mieć rację, czy relację?
- 18 Zielona, z widokiem na morze
- 22 Spod Wawelu na Westerplatte
- 25 Rok Kazimierza Wierzyńskiego – 130 rocznica urodzin poety, prozaika
- 26 NA ZDROWIE
- 26 Maskarada

POLAK W NIEMCZECH



Związek Polaków w Niemczech
– Bund der Polen in Deutschland e.V. – 102 lata

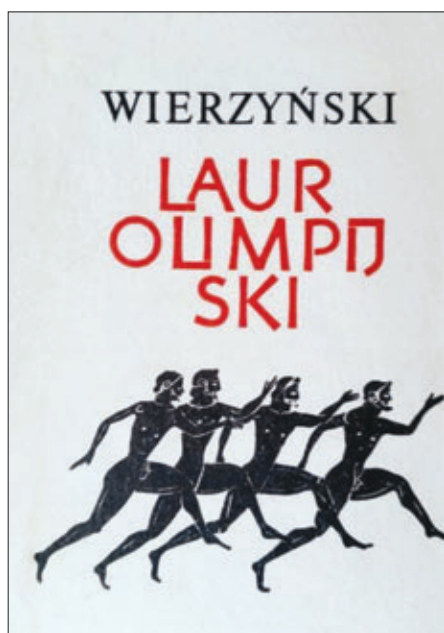
- 3 Laur olimpijski
- 4 Olimpijskie medale dla polskich artystów
- 5 OLIMPIADA
- 8 Olimpijczycy polscy
- 10 Prześladowanie Sinti i Romów w Niemczech nazistowskich w latach 1933 –1945
- 12 KALEJDOSKOP HISTORYCZNO – POLITYCZNY
- 14 Niegroźne dziwactwo czy poważne niebezpieczeństwo?
- 16 Mieć rację, czy relację?
- 18 Zielona, z widokiem na morze
- 22 Spod Wawelu na Westerplatte
- 25 Rok Kazimierza Wierzyńskiego – 130 rocznica urodzin poety, prozaika
- 26 NA ZDROWIE
- 26 Maskarada



Strona tytułowa:
Fot. Ilona Krajewska

Laur olimpijski

W 1927 roku ukazał się „Laur olimpijski” Kazimierza Wierzyńskiego. Tomik zgłoszono na IX olimpiadę w Amsterdamie. Konieczny był przekład na jeden z obowiązujących języków (francuski, angielski, niemiecki). Tłumaczenia na język niemiecki dokonał Joseph Heinz Mischel – dziennikarz i tłumacz literatury polskiej. Jednocześnie werdyktem jury „Laur olimpijski” otrzymał złoty medal.



Nigdy jeszcze (ani wcześniej, ani później) tomik polskiego poety nie spotkał się z takim światowym rezonansem. Ukazały się tłumaczenia na: rosyjski, włoski, francuski, bułgarski, nowogrecki, hebrajski, japoński, łaciński i angielski. W kraju, gdzie wznawiano nagrodzony zbiór liryków, nazywano Kazimierza Wierzyńskiego najlepszym sportowcem wśród poetów. Uprawiał czynnie sport. Po latach wspominał: „Uprawiałem lekką atletykę, biegałem sto i dwieście metrów, próbowałem też dłuższych dystansów, ale najbardziej podobał mi się football”.

W latach 1926-1931 Kazimierz Wierzyński był redaktorem „Przeglądu Sportowego”. W „Laurze olimpijskim” znalazły się strofy poświęcone gwiazdom światowego sportu. Wiersz *Nurami* ukazuje fińskiego biegacza – zdobywcę 5 złotych medali w Paryżu - w ciału

jednego dnia (10 lipca 1924 odniósł on dwa zwycięstwa na 1500 i 5000 m). Biegał 55 razy, 53 razy zwyciężył. Nigdy nie podpisał czeku. Rodacy wystawili mu pomnik, tak jak w antycznej Olimpii stawiano posagi herosom stadionu.

Dwóch amerykańskich sprinterów (często występujących razem, lecz o różnych stylach biegu) przedstawił w *Pad-dock i Porritt*. „Jeden jest w pędzie maszyna, żywa, silna i młoda”. Pędzony emocjami zdobywa rozgłos „rzutem na taśmę” i fascynuje widzów na wszystkich stadionach świata. „Drugi jest samą szybkością, prawem ruchu, przyrody”. *Fanfara na cześć Karola Hoffa* rekordzisty skoku o tyczce przywołuje obraz norweskiego zawodnika, który pierwszy pokonał wysokość 4 m.

Jak Ikar wzbijał się wyżej i wyżej. „Jakie cię skrzydła wzbily, /jakię pęga-zy powiozły, / Że, jakby gołąb lekki, / w powietrzu fikasz kozły?”. *Match footballowy* ukazuje na boisku bramkarza o magicznych rękach. Ricardo Zamora – zawodnik hiszpański - zaćmił sławą torreadorów. „Zamora wsparty w bramce o szczyt Pirenejów, /Piękniejszy niż Don Juan, obciśnięty w swetrze, /Jak dumny król, w chaosie center i wolejów, /Śledzi kulę świetlistą, prującą powietrze”. „(...)Jak pajak się nad dziuplą bramki rozcapierza, /Jak krzak wystrzela w niebo, człowiek-barykada”.

Bohaterem jednego z wierszy stał się Ermio Spalla – włoski bokser. „(...) To silny człowiek, champion, mistrz i entuzjasta”. Odnosił sukcesy też jako aktor filmowy, śpiewak operowy i malarz.

Dziś nie pamięta się dawnych legend i ich wyczynów. Kazimierz Wierzyński utrwalił ich nazwiska w swoich wierszach.

Dziś nie do pomyślenia jest brak kobiet w konkurencjach sportowych. Wystąpiły one po raz pierwszy na olimpiadzie w Amsterdamie. Tekst *Panie na start* emanuje urodą młodości, pięknem kobiecego ciała, pragnącego miłości i dojrzewającego do macierzyństwa.

W zbiorze „Laur olimpijski” mamy mi-gawkowe zapisy wybranych konkurencji, mistrzowsko ukazujących ich rytm i dynamikę. Sugestywny wiersz *100 metrów* ukazuje nogi zawodnika, czekające na strzał startera. „Každy muskuł się zwinął w kłębek, jak sprężyna, /I na cięciwie ciała niecierpliwie drży, /Motor serca już w uszach walić mi zaczyna, /Gotowe! Starter, strzelać! Raz – dwa – trzy!”. Opis oddechu sprintera przedstawił poeta w trzech zwrotkach wiersza *Oddech*; płuca pospieszają głębokim wydechem „że niemal boli”. Powietrze „wpada w gardło, goni po żyłach, dudni głucho”. W *Biegu na przelaj* „(...)dwie nogi mnożą się w biegu, /i są już tysiącem (...)”.

Szybciej, wyżej, dalej to cele zawodników, by je osiągnąć walczą z ograniczeniami ciała. Wspomagani dyscypli-



na, siłą woli pragną osiągnąć najlepszy rezultat. Kazimierz Wierzyński pokazuje psychologiczną stronę sportu: samotność sportowca, marzenie o zwycięstwie jak również smak klęski. „Drobna garsteczka człowieka /w trudzie się wielkim przesila, /Z nóg setki kroków wyrzuca /I setki oddechów z płuc. /Na bieżni kręci się wkoło /wielka za miłą miła, /Jakież olbrzymie zmęczenie/trzeba na drodze tej zmóc?!”. Tak zaczyna się wiersz *Spartanin*. A jego zakończenie brzmi: (...) O, bracie, wielki zwycięzco, /czy tchu ci jeszcze wystarczy, /Chwiejesz się w nogach podcięty, /kołyszysz jak śmieszny bąk, /I padasz – padasz na bieżni, /na twardej, spartańskiej tarczy! /Zbyt ciężko na niej cię podnieść! /Zabrakło tysiąca rąk!”.

Uczestnicy igrzysk kreowani są na



Złoty medal Igrzysk IX Olimpiady w Amsterdamie w 1928 r. awers

antycznych herosów. W *Defiladzie atletów* akcentuje się wolę, wysiłek i moc. „(...)My sławimy natchnienie, musku-

ły i przestrzeń, /Serce, co maratoński wytrzymuje bieg (...). (...) Z naszych mięśni wywodzi się, jak z logarytmu, /Wola w kleszczach zamknięta, wysiłek i moc.”

Teksty *„Lauru olimpijskiego”* nie podkreślają rywalizacji i współzawodnictwa. Promieniują apoteozą sprawności fizycznej i siły woli. Traktują walkę sportową jako akt osobistej wolności człowieka.

Igrzyska olimpijskie łączą zawodników z publicznością. „(...)Widownia oszalała, krzyczy, bije brawo, /Półkole trybun płonie niczym aureola, /I jak wielka tęsknota za zwycięską sławą, /Tętni okrzyk stadionu: gola, gola, gola!”.

Olimpijskie medale dla polskich artystów



Kazimierz Wierzyński



Władysław Skoczylas



Józef Klukowski



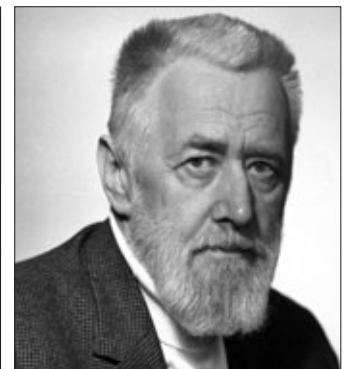
Janina Konarska



Jan Parandowski



Stanisław Ostoja-Chrostowski



Zbigniew Turski

W latach 1912-1948 igrzyskom olimpijskim towarzyszyły konkursy sztuki. Malarze, rzeźbiarze, graficy, poeci, pisarze, muzycy i inni artyści zgłaszali swoje prace, których temat związany był z olimpiadą. Najwybitniejsze dzieła nagrodzone były medalami jak za konkurencje sportowe.

W Amsterdamie w 1928 roku **Kazimierz Wierzyński** otrzymał złoty medal za poezję - LAUR OLIMPIJSKI.

Na tej samej olimpiadzie brązowy medal zdobył **Władysław Skoczylas** za cykl akwarel: LUCZNIK II (stojący),

LUCZNIK II (kłęzący), JELEŃ św. HUBERTA i DIANA.

W 1932 roku na olimpiadzie w Los Angeles złoty medal przypadł **Józefowi Klukowskiemu** za rzeźbę WIEŃCZENIE ZAWODNIKA, a srebrny **Janinie Konarskiej** za drzeworyt NARCIARZE; inne źródła mówią, że za STADION.

W Berlinie na olimpiadzie 1936 roku ponownie medalistą (srebro) został **Józef Klukowski** za rzeźbę PIŁKARZE, medale brązowe otrzymali: **Jan Parandowski** za prozę DYSK OLIMPIJSKI i **Stanisław Chrostowski-Ostoja** za

grafikę KORWETA .

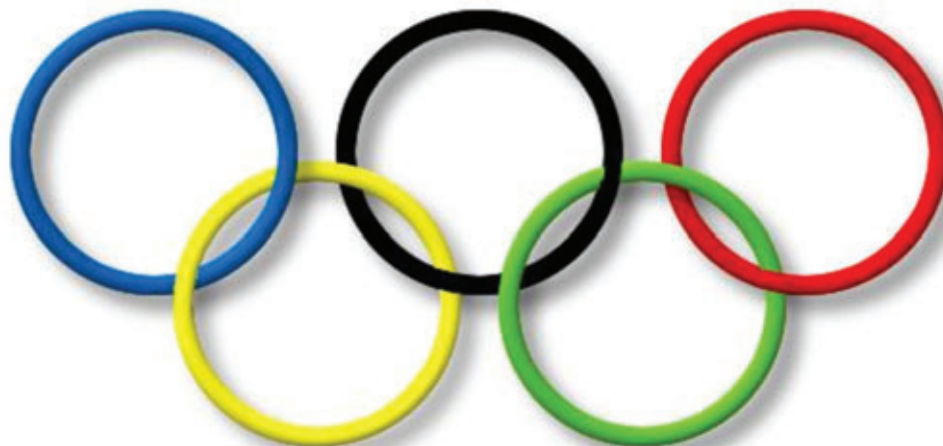
W dziedzinie muzyki złoty medal zdobył w Londynie w 1948 roku **Zbigniew Turski** za II SYMFONIE OLIMPIJSKA.

Medale zdobyte przez artystów są równie cenne jak sportowe.

*Barbara Krajewska,
Anna Mansfeld-Slaski*

Fot. pixabay

OLIMPIADA



Starożytne greckie igrzyska

Starożytne igrzyska były świętem sportowo-religijno-kulturalnym, wielkim wydarzeniem dla wszystkich mieszkańców Hellady. Organizowano je w Olimpii (mieście na Półwyspie Peloponeskim) ku czci najważniejszego boga greckiego – Zeusa. Igrzyska odbywały się co 4 lata, począwszy od 776 p.n.e. do 393 r.n.e. Początkowo trwały jeden dzień, później przedłużono je do pięciu dni.

Obchodzono je od końca lipca do początku września (w zależności od drugiej pełni księżyca). Nad przygotowaniem czuwali urzędnicy. Na rok przed rozpoczęciem do wszystkich polis (miast-państw) udawali się heraldowie, podając datę świąt i zapraszając wszystkich Greków do wzięcia w nich udziału. Ogłaszali też na 2 miesiące zawieszenie wykonywania kary śmierci oraz przetrwanie wszelkich działań zbrojnych.

„Święty rozejm” lub „boży pokój” miał na celu bezpieczne dotarcie Greków do Olimpii i powrót do domu.

W starożytnych igrzyskach mogli brać udział tylko dorośli mężczyźni oraz młodzieńcy od 17 do 20 roku życia. Zawody odbywały się wyłącznie według kategorii wiekowych. Wszystkie konkurencje sportowe (z wyłączeniem wyścigu rydwanów i biegu hoplitów w zbroi) uprawiane były nago, gdyż Grecy kultywowali piękno męskiego ciała. Nagrodą dla zwycięzcy były kotły lub trójnogi z brązu, od 754 r. p.n.e. roku bohaterowie zawodów otrzymywali gałązkę oliwną, z drzewa rosnącego przed świątynią Zeusa. Najlepsi atleci mogli na własny koszt postawić swój posąg w gaju Zeusa, stawali się honorowymi obywatelami swojego miasta, będąc na jego dożywotnim utrzymaniu. Jednakże najważniejszy był dla nich szacunek i rozgłos w całym kraju. Początkowo w igrzyskach brali udział



tylko Grecy, w IV w. p.n.e. dopuszczono Macedończyków, a po 146 r.p.n.e. Rzymian, urodzonych w Grecji. Kobiety nie uczestniczyły w tym wielkim widowisku, wyjątkiem były: kapłanka bogini Hestii (opiekunka ogniska domowego, podróżnych, nowożeńców i sierot, siostra Zeusa) i kapłanka bogini Demeter (bogini płodności i macierzyństwa, siostra Zeusa).

Na czas igrzysk do Olimpii ściągali nieprzebrane rzesze mężczyzn z najdalejszych zakątków Hellady. Spali oni pod gołym niebem lub w namiotach. Zawodnicy przybywali wcześniej do miejscowości Elis, by odbyć czterotygodniowe treningi. Składali przysięgę, że przez 10 miesięcy przed igrzyskami sumiennie trenowali. Towarzyszyli im trenerzy, krewni, przyjaciele. Nie brakowało też widzów, obserwujących przygotowania do zawodów. Następnie wielka procesja wyruszała do Olimpii (58 km), gdzie na atletów czekały palestry – miejsca, w których trenowano sporty walki i gimnazjony – miejsca, gdzie uprawiano sport i ćwiczenia fizyczne.

Ważną rolę w igrzyskach odgrywali sędziowie (na początku było dwóch, później dwunastu), wybierani rok przed rozgrywkami. Za ich przygotowanie odpowiedzialni byli specjaliści od regul oraz zasad walk. Arbitrzy mieli prawo do wymierzania kar cielesnych zawodnikom, łamiącym regulamin. Zawodnik zaś mógł wnieść skargę na sędziego do



Rady w Olimpii. Za popełnione błędy sędzia płacił grzywnę, lecz jego werdykt nie ulegał zmianie. Sędziowie starali się, by zawody przebiegały uczciwie i sprawiedliwie.

Antyczni Grecy rozgrywali igrzyska na stadionie, będącym w czasie olimpiady (czas między igrzyskami) polem uprawnym. W ramach przygotowań zraszana wodą ziemię przekopywano motykami, utwardzano walcami, równano bieżnię, na której instalowano mechanizmy startowe. Do obsługi przybyszów Olimpia zatrudniała wielu ludzi: strażników pilnujących porządku, tancerzy, muzyków, dostawców pożywienia, kucharzy (Grecy zwracali szczególną uwagę na dietę).

Dyscypliny sportowe

Na starożytnych igrzyskach rywalizowano w:

biegach – początkowo pokonywano dystans o długości jednego stadionu (192,27 m), potem dołożono bieg na średnim dystansie długości dwóch stadionów (384, 54 m), z czasem bieg długodystansowy - dwadzieścia cztery stadiony (4614,5 m)

skoku w dal – z miejsca lub z bardzo niewielkim rozbiegiem

rzucie dyskiem

rzucie oszczepem

zapasach

boksie

pankrationie – połączenie zapasów i boksu

wyścigach konnych

wyścigach rydwanów – cztery konie; najbardziej niebezpieczna, lecz najbardziej atrakcyjna i widowiskowa dyscyplina

wyścigach mułów – wóz z parą mułów

Dyskobol

*Rzut mój w rozwartej zaczyna się dłoni,
Rzut mój się kończy nie wiadomo gdzie,
Dysk, niby dukat potyskliwy, dzwoni
Poza światami, za metami, w mgle.*

*Dysk mój upada na ziemię i dźwięczy,
I znów się zrywa, i wykreśla łuk,
To serce skute w złocistej obręczy
Tętni i bije, i przyspiesza stuk.*

*Z placów na place jak pstrąg się przerzuca,
Jak lotne przęsło, jak skaczący most,
Rzut, który światom wyolbrzymia płuca,
Który wymierza gwiazdom wielkim wzrost.*

*Rzut, który miarę wytkniętą już przerósł,
Minął granice i wzbił się jak duch,
Rzut ten mam w dłoni - dyskobol i heros,
Ja, który wszczynam niewstrzymany ruch.*
Kazimierz Wierzyński



Przebieg uroczystości

Dzień pierwszy: w tym dniu rejestrowano zawodników i składano Zeusowi ofiarę z dzika. Przyjmowano przysięgę od atletów o uczciwej walce i od sędziów o sprawiedliwym rozstrzygnięciu zawodów. Odbywały się też zawody trębaczy i heroldów. Wygrywali ci, którzy najgłośniej trąbili i najgłośniej krzyczeli. Oni otrzymywali zaszczyt zapowiadania sportowców i ogłaszania wygranych. Przybyli na igrzyska Grecy wysłuchiwali wykładów filozofów i historyków, recytacji poetów, zasięgali porad wróżbitów i składali bóstwom ofiary.

Dzień drugi: rankiem wyruszała procesja na stadion. Na jej czele szli sę-





dziowie, za nimi zawodnicy, dalej służba porządkowa, a na końcu widzowie. Sędziowie zajmowali miejsca w połowie długości stadionu, na specjalnej trybunie, naprzeciw nich zasiadała kapłanka bogini Demeter. Kiedy wszyscy dotarli na miejsce rozgrywek, główny sędzia wstawał i unosił w górę gałąź palmowa, rozlegał się dźwięk trąbki, a herold ogłaszał rozpoczęcie igrzysk. Jako pierwsi startowali chłopcy w biegach, a po ich zakończeniu staczali walki w zapasach, boksie i pankrationie.

Dzień trzeci: rozpoczynał się na hipodromie, gdzie urządzano wyścigi konne. Ponadto rozgrywano pentlaton (rzut dyskiem, oszczepem, skok w dal, biegi, zapasy). Wieczorem wspólnie śpiewano i ucztowano.

Dzień czwarty: w tym dniu odbywały się najważniejsze obrzędy religijne, w świątyni składano Zeusowi ofiarę ze 100 wołów. Po porannych uroczystościach mierzyli się atleci w biegach na wszystkich dystansach, w zapasach, boksie oraz pankrationie. Zmagania zawodników kończył bieg hoplitów w zbroi i z tarczą (hoplita – ciężkozbrojny piechur grecki, jego ekwipunek ważył ok. 30 kg).

Dzień piąty: wyjątkowy dzień dla zwycięzców – ceremonia ich wieńczenia (w każdej dyscyplinie był tylko jeden zwycięzca, nie było 2. i 3. miejsca). Szli oni w procesji do świątyni Zeusa z pur-

purowymi wstążkami na głowie, tam herold wykrzykiwał ich imię i miejscowość, z której pochodzili, a najstarszy sędzia wkładał im wieniec na głowę. Zwycięzców obrzucano kwiatami. Po uroczystości uczestnicy igrzysk składali ofiary na ołtarzach bogów. Wieczorem odbywały się uczty i wesołe zabawy. Następnego dnia wszyscy wracali do swoich domów.

Igrzyska w Olimpii były pokazem siły i ducha oraz afirmacją ludzkiego (męskiego) ciała.

Kres starożytnym greckim igrzyskom położył cesarz Teodozjusz I Wielki w 393 r.n.e., uznając je za pogańskie.

Igrzyska ku czci bogini Hery

Panie na start

*Woła nas trąba grająca
i ostry woła nas dzwonek,
Biegniemy, siostry dziewicze
spartanek i amazonek.*

*Ręce do góry podniósłszy,
wysmukłość przydając biodrom,
Skokiem jelenic biegniemy
przez zachwycony hippodrom.*

*Nagość ciał naszych jest karą,
jędrnego, ścisłego drzewa,
W piersiach się w naszych jak dzbanach
Krew mleka przyszłego przelewa.*

*Nogi, nadzieję miłości
i tajemnicę kochania,
Bez-wstydu nasz triumfujący
przed oczy wszystkich odsłania.*

*Bierzcie nas silni efebci,
w mocy swej nieustraszonej,
Do ramion waszych biegniemy,
dziewice wasze i żony.*

*Do mety swej – urodzaju,
by powić wam nową ziemię,
Spartanki i amazunki
zwycięskie, radosne plemię.*

Kazimierz Wierzyński

W starożytnej Grecji uważano, że kobiety nie mogą uprawiać sportu ze względów religijnych, nie doceniano też kobiecego ciała. Wyjątkiem była Sparta, gdzie zwracano wyjątkową uwagę na tężyznę fizyczną. Uważano, że zdrowa, wysportowana kobieta urodzi zdrowe potomstwo (w tym mieście-państwie słabe i ułomne dzieci były porzucane).

Według, żyjącego na przełomie VI

i V w.p.n.e. spartańskiego wodza Pauzania, od VI w.p.n.e., tuż przed igrzyskami dla mężczyzn, organizowano w Olimpii igrzyska dla dziewcząt tzw. heraje. Poświęcone one były żonie boga Zeusa – Herze. Trwały jeden dzień. Przygotowaniem imprezy zajmowały się najstarsze i najbardziej zasłużone mężatki – 16 kobiet. Zawodniczki, pomiędzy szóstym a osiemnastym rokiem życia, rywalizujące tylko w jednej dyscyplinie – w biegach, podzielone były na kategorie wiekowe. Zawody rozpoczynały zawsze najmłodsze. Dystans dla dziewcząt wynosił 5/6 dystansu męskiego, czyli 160 metrów. W przeciwieństwie do mężczyzn nie występowały nago, ich ciała okrywały krótkie, sięgające do kolan chitony. Tuniki te odsłaniały prawe ramię i prawą pierś. Zwycięzynie, podobnie jak mężczyźni, otrzymywały wieniec oliwowy i część wołu, ofiarowanego bogini Herze. Miały również prawo do wystawiania w świątyni Hery swoich posągów lub portretów.

Igrzyska nowożytne



Pierre de Coubertin

Historia nowożytnych igrzysk rozpoczyna się w XIX wieku, w 1896 roku. Po XV wiekach – w kolebce sportu Grecji – zorganizowano pierwsze igrzyska olimpijskie. Niemały wpływ na to wydarzenie miały odkrycia archeologiczne w Olimpii. Europejczycy zaczęli interesować się starożytną kulturą helleńską. Gorącym zwolennikiem wskrzeszenia antycznej rywalizacji w nowożytnym wydaniu był francuski baron Pierre de Coubertin z koncepcją „bożego pokoju”, uczciwą grą zawodników, pokonywaniem własnych słabości, ale przede wszystkim sportem – łącznikiem różnych kultur. Z jego inicjatywy w 1894 roku zwołano w paryskiej Sorbonie pierwszy kongres olimpijski, na którym powołano Międzynarodowy Komitet Olimpijski. Na jego czele stanął Grek – Dimitros Wikielas. Po dwóch latach stanowisko to objął Pierre de Coubertin i piastował je do

1925 roku. Na tymże kongresie ustalono datę i miejsce dwóch kolejnych igrzysk: Ateny – 1896 i Paryż – 1900.

Igrzyska odbywają się co 4 lata w różnych miastach świata, wybranych przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski. W erze nowożytnej nie odbyły się trzy razy w latach 1916, 1940, 1944. Powodem były toczące się wojny światowe. W 1980 roku zawodnicy z Zachodu zbojkotowali olimpiadę w Moskwie. Cztery lata później w Los Angeles nie pojawili się sportowcy „zza żelaznej kurtyny”.

Od 1924 roku nowożytnym igrzyskom towarzyszy motto: „szybciej, wyżej, mocniej”. Autorem tego hasła jest Henri Didon (1840-1900), francuski dominikanin, propagator kultury fizycznej. W 2021 roku Międzynarodowy Komitet Olimpijski dołożył jeszcze słowo: „razem”.

Na I Igrzyska Olimpijskie do Aten w 1896 roku (6 -15 kwiecień) przybyło 241 mężczyzn z 14 krajów. Rywalizowali oni w 43 konkurencjach w 9 dyscyplinach sportowych: **lekkoatletyce, kolarstwie, szermierce, gimnastyce, strzelectwie, pływaniu, tenisie, podnoszeniu ciężarów, zapasach**. Dla porównania, na XXXIII igrzyskach w Paryżu w 2024 roku 10 500 sportowców z 206 krajów będzie rywalizować w 329 konkurencjach w 32 dyscyplinach.

Zawody rozgrywano na zmodernizo-

wanym starożytnym stadionie, mieszczącym 80 tys. ludzi. Podczas ceremonii otwarcia król Grecji Jerzy I wypowiedział słowa: „Ogłaszam Igrzyska Olimpiady ery nowożytnej w Atenach za otwarte” (od tej pory tymi słowami głowy państwa otwierają każdą olimpiadę). Zabrział Hymn Olimpijski, tekst wyszedł spod pióra poety greckiego Kostisa Palamasa. Stuosobowym chórem i orkiestrą, złożoną z trzystu instrumentalistów, dyrygował sam kompozytor hymnu Spiridon Samaras.

Na olimpiadzie w Atenach Grecy zdobyli 46 krawców (10 złotych), najlepsi okazali się Amerykanie z 11 krawkami złotymi... które były ze srebra. Za drugie miejsce przyznawano krawki z miedzi, trzecie miejsce nie było nagradzane. Ponadto zwycięzcom wieńczono głowy gałązką oliwną. System medalowy wprowadzono dopiero w 1904 roku na olimpiadzie w St. Louis (USA).

Symbole olimpijskie

Znicz olimpijski – zapalany w dniu rozpoczęcia igrzysk, rozpalany w greckiej Olimpii od promieni słonecznych, płonie przez cały czas trwania zawodów, zwyczaj wprowadzono w 1928, a od olimpiady w Berlinie w 1936 roku znicz z Olimpii niesiony jest przez międzynarodową sztafetę na miejsce igrzysk

Flaga olimpijska – na białym tle pięć kół w kolorach: niebieskim, żółtym, czarnym, zielonym, czerwonym,

połączonych z sobą, symbolizujących związek pięciu kontynentów na igrzyskach, kolory te odzwierciedlają barwy, znajdujące się na flagach państwowych, twórcą flagi jest Pierre de Coubertin

Hymn olimpijski – od 1958 roku oficjalnie uznany hymn z I olimpiady w Atenach, wcześniej kraj, organizujący igrzyska układał swój własny

Medale – złote, właściwie pozłacane (minimum 6 g złota), srebrne i brązowe; wymiary: średnica - 60 mm, grubość – 3 mm

Dekoracja medalistów – dla zwycięzcy jego hymn państwowy, na maszcie flagi narodowe trzech medalistów

Defilada – parada zawodników; pokaz piękna, siły, młodości, radości; otwiera ją zawsze Grecja, zamyka gospodarz igrzysk

Maskotka – od 1968 roku

Przyrzeczenie olimpijczyków o uczciwej rywalizacji

Przyrzeczenie sędziów o sprawiedliwym wydawaniu werdyktów

Barbara Krajewska,
Anna Mansfeld-Slaski
Fot. pixabay

Olimpijczycy polscy

W Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim Polskę reprezentuje Polski Komitet Olimpijski, zajmujący się wszystkimi sprawami, związanymi z przygotowaniem sportowców do olimpiady. Pierwszy Komitet Olimpijski powstał w 1919 roku pod nazwą Polski Komitet Igrzysk Olimpijskich. W 1963 roku utworzono Klub Olimpijczyka, do którego mogą należeć: zawodnicy, trenerzy, lekarze, dziennikarze sportowi. Co 4 lata (w roku olimpijskim) PKOl przyznaje złote i srebrne wawrzyny – wyróżnienie dla pisarzy, filmowców, architektów, muzyków za twórczość artystyczną, związaną z ideą olimpijską.

Polacy brali udział w olimpiadach od 1908 roku, jednak pod własną flagą po raz pierwszy wystąpili w 1924 roku. Uczestnictwo w olimpiadzie 1920 roku (przygotowania szły pełną parą) uniemożliwił polskiemu sportowcom najazd bolszewików na Polskę. Zamiast na olimpiadę poszli na wojnę.

Na olimpiadzie w Paryżu 100 lat temu startowało 66 zawodników w 10 dyscyplinach, w tym jedna kobieta – Danuta

Dubieńska, florecistka. Pierwszy medal dla Polski wywalczyła czwórka kolarzy. Byli to: Franciszek Szymczyk, Jan Łazarski, Józef Lange, Tomasz Stankiewicz. Zdobyli srebrny medal w drużynowym wyścigu na torze na dystansie 4000 m. Drugi medal – brązowy – zdobył rotmistrz wojska polskiego Adam Królikiewicz na koniu Picador (zwany Maćkiem) w jeździeckim konkursie skoków przez przeszkody.



Srebrni medalści



Maria Kwaśniewska (pierwsza od lewej strony)

Pierwszy złoty medal wywalczyła dla barw Polski dyskobolka Halina Konopacka na igrzyskach w Amsterdamie w 1928 roku. W sumie Polacy zdobyli 5 medali. Wielkim sukcesem było zdobycie złotego medalu przez Janusza Kusocińskiego w Los Angeles w 1932 roku w biegu na 10 000 m.

Do 1939 roku reprezentacje Polski brały udział w czterech olimpiadach, zdobyto 20 medali. Było to olbrzymie osiągnięcie, po 123 latach niewoli nasz kraj miał duże zaległości w każdej dziedzinie, także w sporcie – Polacy nie zaliczali się do sportowej czołówki światowej.

W czasie II wojny światowej liczni sportowcy stanęli do walki z okupantem niemieckim. Wielu z nich oddało życie. Na cmentarzu w Palmirach koło Warszawy spoczywają prochy Janusza Kusocińskiego i Tomasza Stankiewicza, rozstrzelanych przez hitlerowców w czerwcu 1940 roku. Zginęli lub zostali zamordowani: Kazimierz Bocheński (pływak), Jan Wrzosek i Władysław Karaś (strzelcy), Leszek Lubicz-Nycz, Bronisław Czech, Helena Marusarzówna (narciarze), Zdzisław Kawecki (jeździec), Antoni Cejzik, Józef Jaworski, Józef Noji i Eugeniusz Lokajski (lekkoatleci) oraz dziesiątki innych. Halina Konopacka pomagała swojemu mężowi - dyplomacie wywóz złota Banku Polskiego. Była kierownicą ciężarówki. Niezwykle interesująca jest historia Marii Kwaśniewskiej – brązowej medalistki w rzucie oszczepem



Irena Szewińska

na olimpiadzie w 1936 roku w Berlinie. W czasie wojny była działaczką ruchu oporu, udzielała w swoim domu schronienia żołnierzom AK i Żydom. Po Powstaniu Warszawskim wyprowadziła z obozu w Pruszkowie setki osób, pokazując żandarmom fotografię z olimpiady, na której stoi w otoczeniu medalistów i Hitlera.

Nasz kraj, a wraz z nim i sport polski, wyszedł z wojny bardzo zniszczony. W pierwszej olimpiadzie po wojnie



Halina Konopacka

w Londynie w 1948 roku jedyny medal dla Polski (brązowy) zdobył bokser Aleksy Antkiewicz. Ale już w 1960 roku w Rzymie Polska znalazła się w czołówce światowej - 21 medali. Tokio (1964) - 23 medale, Meksyk (1968) - 18 medali, Monachium (1972) - 21 medali, Montreal (1976) - 26 medali, Moskwa (1980) - 32 medale, Seul (1988) - 16 medali, Barcelona (1992) - 19 medali, Atlanta (1996) - 17 medali, Sydney (2000) - 14 medali, Ateny (2004) - 10 medali, Pekin (2008), Londyn (2012) i Rio de Janeiro (2016) - po 11 medali, Tokio (2020)



Robert Korzeniowski



Janusz Kusociński

- 14 medali. Polscy olimpijczycy wywalczyli łącznie 299 medali - 72 złote, 90 srebrnych, 137 brązowych. W klasyfikacji medalowej Polska zamyka drugą dziesiątkę.

Polacy największe sukcesy odnosili w lekkoatletyce, boksie, podnoszeniu ciężarów, szermierce. W Monachium w 1972 roku największą radość sprawili piłkarze, doszli do finału i zdobyli złoty medal olimpijski w piłce nożnej – pierwszy dla Polski w grach zespołowych.

Do najbardziej utytułowanych złotych olimpijskich medalistów należą: Robert Korzeniowski (chód) - 4 medale, Irena Szewińska (lekkoatletyka) - 3 medale, Anita Włodarczyk (rzut młotem) - 3 medale.

*Barbara Krajewska,
Anna Mansfeld-Slaski
Fot. Pixabay*



Anita Włodarczyk

Prześladowanie Sinti i Romów w Niemczech nazistowskich w latach 1933 –1945

Od końca stycznia 1933 roku sytuacja niemieckich Sinti i Romów zaostrzała się drastycznie. Wiele rozporządzeń i ustaw, skierowanych przeciwko Żydom, dotyczyło także Sinti i Romów. Przepisy wykonawcze obejmowały: wydalanie ze szkół, zakazy wykonywania zawodu oraz odbieranie świadczeń socjalnych. Samodzielną działalność traktowano jako nieproduktywną i oszukańczą, odmawiano członkostwa w stowarzyszeniach zawodowych ze względu na „niearyjskie pochodzenie”, a muzyków wykluczano z tzw. „Reichsmusikkammer”. Zakazami podejmowania pracy zarobkowej celowo zmuszono Sinti i Romów do bezczynności, zarzucając im jednocześnie niechęć do pracy. Próby przeciwstawienia się tym rozporządzeniom skutkowały nielegalną działalnością i w efekcie prowadziły do dalszych prześladowań. „Dekret o zapobiegawczym zwalczaniu przestępczości” z grudnia 1937 r. groził wywiezieniem do obozu koncentracyjnego.

Już w 1935 roku nacjonałiści utworzyli w niektórych większych niemieckich miastach miejskie obozy dla internowanych, w których Sinti i Romowie musieli żyć w nieludzkich warunkach pod nadzorem miejscowej policji. Miało miejsce najpierw w Kolonii, następnie w Berlinie, Frankfurt nad Menem, Magdeburgu i Düsseldorfie.

W Berlinie, bezpośrednio przed igrzyskami olimpijskimi w 1936 roku, policja w ramach skoordynowanej operacji aresztowała około 600 Sinti i Romów i wywiozła ich na teren Marzahner Rieselfelder na wschodnim krańcu Berlina. Naziści cynicznie nazywali je miejscem wypoczynku - „Zigeunerrastplatz” Marzahn. Wiele rodzin musiało spać na otwartym terenie „pod gołym niebem”. Dopiero później zbudowano baraki. Warunki życia w obozie były katastrofalne. Brakowało środków sanitarnych, żywności i opieki medycznej. Policjanci, pełniący wartę, wielokrotnie dopuszczali się aktów przemocy. Internowani, w tym nieletni, którym nie pozwolono już uczęszczać do szkoły, byli zmuszani do pracy w pobliskich przedsiębiorstwach przemysłowych i rolniczych, niejednokrotnie w niezwykle trudnych warunkach i bez zapewnienia podstawowej żywności. Od lata 1936 r. do wiosny 1943 r. w samym obozie zginęło 52 dzieci.

Równoległe do zaostrażania prześladowań utworzono w policji kryminalnej centralny aparat nadzorujący i prześladowający, ukierunkowany specjalnie na Sinti i Romów. Monachijska „Zigeunerrzentrale” została w roku 1938 przeniesiona do Berlina i funkcjonowała jako „Reichszentrale zur Bekämpfung des Zigeunerunwesens”, w której m.in.

zapadały decyzje o deportowaniu Sinti i Romów do obozów koncentracyjnych i obozów zagłady.

W maju 1940 r. po raz pierwszy do okupowanej przez Niemców Polski deportowano liczną grupę Sinti i Romów. Jesienią 1941 r. z austriackiego Burgenlandu wywieziono około 5 tys. Romów do utworzonego dla Żydów getta łódzkiego. Miały miejsce także wywózki do getta warszawskiego.

16 grudnia 1942 roku Heinrich Himmler, Reichsführer SS i szef niemieckiej policji, wydał dekret nakazujący skierowanie do Auschwitz wszystkich Sinti i Romów z Rzeszy Niemieckiej i terenów przez nią okupowanych. Na początku marca 1943 roku prawie wszyscy więźniowie obozu przymusowego w Marzahn zostali deportowani do tzw. „Zigeunerlager” w Auschwitz. Wielu z nich zmarło wkrótce po przybyciu na skutek okrutnych warunków życia, wielu poniosło śmierć w wyniku brutalnych eksperymentów medycznych, przeprowadzanych przez lekarza SS Josefa Mengele, lub padło ofiarą morderczej pracy przymusowej i przemocy zadawanej przez ekipy SS.

16 maja 1944 r. SS zamierzało zlikwidować „obóz cygański” Auschwitz-Birkenau, co nie powiodło się ze względu na niespodziewany opór więźniów.





Wkrótce potem około 3000 więźniów, których uznano za jeszcze „zdolnych do pracy”, wysłano do innych obozów koncentracyjnych, w tym do Buchenwald i Mittelbau-Dora. Około 2900 więźniów pozostających w obozie (głównie starcy, chorzy i dzieci) w nocy z 2 na 3 sierpnia 1944 r. zostało zamordowanych w komorach gazowych. Wśród ocalałych znaleźli się Otto Rosenberg i Ewald Hanstein. W sumie około 500 000 Sinti i Romów padło ofiarą rasowego szaleństwa nazistowskiego.

Gedenkstätte Zwangslager Berlin-Marzahn

Miejsce Pamięci „Zwangslager Berlin-Marzahn” jest autentycznym terenem, na którym znajdował się w latach 1936 - 1945 jeden z pierwszych i największych komunalnych obozów przymusowych dla Sinti i Romów.

Po 1945 r. przymusowy charakter obozu w Marzahn był kwestionowany przez organy ds. rekompensat, a wniośki odrzucano ze względu na rzekomy brak kwalifikowalności. Dopiero w 1987 roku Otto Rosenbergowi udało się wywalczyć to, że dawny Senat Berlina Zachodniego uznał istnienie obozu przymusowego w Marzahn w rozumieniu prawa odszkodowawczego. Ku pamięci Otto Rosenberga i jego walki o uznanie osób internowanych w tym obozie za ofiary nazizmu nazwano w roku 2007 jego imieniem plac i ulicę w tym historycznym miejscu.

W 2011 roku z inicjatywy Petry Rosenberg, córki Otto Rosenberga, przy wsparciu berlińskiej dzielnicy Marzahn-

Hellersdorf i Senatu Berlina, na terenie byłego obozu otwarto Miejsce Pamięci i Informacji. Na dziesięciu tablicach informacyjnych umieszczono historię miejsca i biografie osób, które przeżyły obóz. Od czasu upadku muru, co roku, w drugą niedzielę czerwca, odbywa się tu uroczystość, upamiętniająca deportację berlińskich Sinti i Romów do obozu przymusowego w Marzahn.

Wspólnie z Landesverband Deutscher Sinti und Roma Berlin-Brandenburg e.V., miejsce pamięci „Zwangslager Marzahn” oferuje, oprócz zwiedzania wystaw oraz odczytów, możliwość prowadzenia dogłębnej pracy edukacyjnej w oparciu o zasoby biblioteczne oraz archiwalne dokumenty dźwiękowe. Adres pocztowy: Otto-Rosenberg-Straße 1, 12681 Berlin. Kontakt: www.gedenkstaette-zwangslager-marzahn.de

Na pobliskim cmentarzu Parkfriedhof Marzahn znajduje się Kamień-Obelisk, upamiętniający berlińskich Sinti i Romów i przypominający o ich deportacji do Auschwitz z tak zwanego „Zigeunerrastplatz”, założonego przez nazistów na krótko przed rozpoczęciem Igrzysk Olimpijskich w 1936 roku. Obok w/w Kamienia-Obeliska znajdują się dwie tablice, objaśniające ten fakt. Na jednej z tych tablic widnieje napis:

„Auf einem ehemaligen Rieselfeld nördlich dieses Friedhofs richteten die Nazis im Vorfeld der Olympischen Spiele 1936 einen ‚Zigeunerrastplatz‘ ein, auf dem Hunderte Sinti und Roma gezwungen wurden zu leben. Zusammengepfercht in düstere Baracken, fristeten die Lagerbewohner ein elendes Dasein. Harte Arbeit, Krankheit und Hunger

forderten ihre Opfer. Willkürlich wurden Menschen verschleppt und verhaftet. Demütigende ‚rassenhygienische Untersuchungen‘ verbreiteten Angst und Schrecken. Im Frühjahr 1943 wurden die meisten der ‚Festgesetzten‘ nach Auschwitz deportiert. Männer und Frauen, Greise und Kinder. Nur wenige überlebten.“

Europäischer Holocaust-Gedenktag für Sinti und Roma

2 sierpnia jest dniem pamięci o ludobójstwie nazistowskim na ostatnich Sinti i Romach, więzionych w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau, którzy tej nocy 1944 r. zostali zamordowani przez SS pomimo zacieklego oporu.

Ku pamięci 500 000 Sinti i Romów, którzy zostali zamordowani w okupowanej przez nazistów Europie, Parlament Europejski w roku 2015 ogłosił ten dzień Europejskim Dniem Pamięci o Holokauście Sinti i Romów. Każdego roku w tym dniu odbywają się na terenie dawnego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau uroczystości upamiętniające to ludobójstwo.

Alina Leutner

Artykuł napisałam na podstawie tekstów z broszury pt. „Sinti und Roma. Geschichte und Gegenwart einer Minderheit in Brandenburg, Deutschland und Europa“ wydanej przez Landesverband Deutscher Sinti und Roma Berlin-Brandenburg e.V. z siedzibą w Berlinie.

Zdjęcia: Alina i Klaus Leutner



K A L E J D O S K O P

HISTORYCZNO – POLITYCZNY



Szczyt NATO w Waszyngtonie

Szef polskiej dyplomacji Radosław Sikorski towarzyszył Prezydentowi RP Andrzejowi Dudzie podczas spotkania szefów państw i rządów krajów NATO, które odbyło się w dniach 9-11 lipca br.

Podstawowe decyzje, podjęte na szczycie, dotyczyły dalszego wzmocnienia krajów członkowskich na wypadek zagrożenia rosyjskiego oraz wsparcia sił NATO dla walczącej Ukrainy. Był to pierwszy szczyt Sojuszu, w którym już jako pełnoprawny kraj członkowski, uczestniczyła Szwecja. Dzień przed wyłotem na szczyt w Waszyngtonie prezydent Ukrainy Wołodymyr Zeleński odwiedził Polskę i spotkał się z polskim prezydentem Andrzejem Dudą oraz premierem Donaldem Tuskiem.

„W trakcie obrad Sojusznicy omówili z prezydentem Wołodymyrem Zeleńskim dalsze kroki w celu wzmocnienia możliwości obrony Ukrainy oraz odnotowali postępy na drodze Kijowa do integracji ze strukturami euroatlantyckimi. Sojusznicy rozmawiali też z przywódcami Australii, Japonii, Nowej Zelandii i Republiki Korei oraz z Przewodniczącym Rady Europejskiej Charlesem Michele, a także Wysokim Przedstawicielem UE ds. Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa Josepem Borrellem na temat moż-

liwych wspólnych działań w odpowiedzi na zagrożenia i wyzwania, jakie dla porządku międzynarodowego stanowią działania Rosji i jej sprzymierzeńców” – czytamy na stronie polskiego MSZ.

Prezydent Andrzej Duda oraz szef polskiej dyplomacji Radosław Sikorski wzięli udział w uroczystości upamiętniającej 75. rocznicę podpisania Traktatu Waszyngtońskiego, powołującego do życia Sojusz Północnoatlantycki. Szef polskiego MSZ zaznaczył podczas spotkania z krajami członkowskimi NATO, jak ważne jest inwestowanie w obronność wobec zagrożenia dla bezpieczeństwa europejskiego ze strony Rosji. - Wydajemy ponad 4% PKB na obronność, mamy 14. największy budżet obronny na świecie, a w przyszłym roku pójdziemy dalej – podkreślił minister Sikorski.

Prezydent Duda: ws. zbrodni wołyńskiej: uważam, że dążenie do prawa rodzin, by mieć groby bliskich, zostanie przez Ukrainę zrealizowane

„Uważam, że spokojne dążenie do prawdy i do prawa rodzin, by mieć groby swoich najbliższych, zostanie przez naszych sąsiadów z Ukrainy zrealizowane” – stwierdził prezydent Andrzej Duda, pytany o kwestię ekshumacji i prac poszukiwawczych ofiar zbrodni wołyńskiej przy okazji 81. rocznicy ludobójstwa na

Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.

„Ekshumacje i poszukiwania przede wszystkim były realizowane. W zeszłym roku byliśmy razem z prezydentem Wołodymyrem Zeleńskim w katedrze w Łucku. Tam razem klękaliśmy przed ołtarzem, na którym upamiętniono ofiary rzezi wołyńskiej, modliliśmy się tam.

To był, w moim przekonaniu, ważny gest ze strony głowy państwa ukraińskiego” – zaznaczył prezydent na antenie Polsat News. Dodał, iż w jego opinii czas, kiedy Ukraina zmagą się z atakiem Rosji, nie jest najlepszym momentem na prowadzenie rozmów na temat ekshumacji. „Zdaję sobie sprawę z tego, że będzie wielu rodaków, którzy być może będą mieli inne zdanie. Uważam, że trzeba rozmawiać i że spokojne dążenie do prawdy i do elementarnego prawa rodzin, by mieć groby swoich najbliższych, zostanie przez naszych sąsiadów z Ukrainy zrealizowane, w imię stosunków dobrosąsiedzkich i w imię przyzwoitości” – wyraził nadzieję prezydent Duda.

11 lipca 1943 r. ukraińscy nacjonałiści dokonali ataku na polskich mieszkańców 150 miejscowości na Wołyniu. W sumie w latach 1943-45 na Wołyniu,



Podolu i w Galicji Wschodniej zginęło ok. 100 tys. Polaków zamordowanych przez oddziały Ukraińskiej Armii Powstańczej i miejscową ludność ukraińską.

Sprawcy zbrodni wołyńskiej to Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów – frakcja Stepana Bandery, podporządkowana jej Ukraińska Powstańcza Armia oraz ludność ukraińska uczestnicząca w mordach swoich polskich sąsiadów. OUN-UPA nazywała swoje działania „antypolską akcją”. To określenie ukrywało zamiar, jakim było wymordowanie i wypędzenie Polaków, aby Ukraina stała się krajem całkowicie jednolitym etnicznie. „Powinniśmy przeprowadzić wielką akcję likwidacji polskiego elementu. (...) Tej walki nie możemy przegrać i za każdą cenę trzeba osłabić polskie siły. Leśne wsie oraz wioski położone obok leśnych masywów powinny zniknąć z powierzchni ziemi” – napisał w tajnej dyrektywie jeden z dowódców UPA Dmytro Klaczkiwski „Kłym Sawur”. Dokument ten uznawany jest przez historyków za jeden z kluczowych dla podjęcia decyzji o masowych mordach na Polakach.

Z rąk nacjonalistów ukraińskich ginęły także rodziny polsko-ukraińskie, Ukraińcy odmawiający wzięcia udziału w zbrodniczej akcji oraz ratujący Polaków. Wydana przez Instytut Pamięci Narodowej „Kresowa Księga Sprawiedliwych”, opracowana przez Romualda Niedzielkę podaje, że Ukraińcy uratowali 2527 Polaków. Za tę pomoc 384 Ukraińców zapłaciło życiem. Od 2017 r. ratujący Polaków są odznaczani medalami

Virtus et Fraternitas (Męstwo i Braterstwo) przyznawanymi przez prezydenta RP, na wniosek Instytutu Pileckiego.

Ukraina jest obecnie jedynym państwem, które nie zezwała Polsce na prowadzenie prac ekshumacyjnych na swoim terenie. W opinii historyków i działaczy, walczących o ujawnienie prawdy o ludobójstwie na Wołyniu, brak stanowczego potępienia tej zbrodni i odcięcia się od niej oraz elementarnego zadośćuczynienia będzie oznaczał, że ludobójstwo może być metodą skutecznego rozwiązywania sporów sąsiedzkich, a tym samym będzie wykluczał Ukrainę z kręgu państw zachodnich, opierających się na fundamentach cywilizacji łacińskiej.

80. rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego

1 sierpnia 1944 roku o godzinie 17.00 wybuchło Powstanie Warszawskie, największy zryw niepodległościowy w okupowanej przez Hitlera Europie. Trwało aż 63 dni, a bohaterstwo i przygotowanie bojowe walczących o wolność Polaków docenili nawet niemieccy zbrodniarze wojenni.

„Przekonanie, że wojna z Niemcami nie jest zakończona, że czeka nas jeszcze generalna z nimi rozprawa, trwało od kapitulacji 1939 roku. Przygotowywaliśmy się do niej początkowo w ramach zadań harcerskich. W miarę nasilania się terroru narastało pragnienie jawnej, otwartej walki. Dyskusja, czy Powstanie wybuchło w odpowiednim momencie i czy miało sens, jest dla mnie absolutnie jałowa. Młodzież była tak dalece nastawiona na walkę, że gdyby dowódz-

two nie wydało rozkazu, Powstanie i tak by wybuchło – w skutkach jeszcze tragiczniejsze, bo jednolicie nie dowodzone. Stałoby się ogólną rzezią” – mówiła w 1991 roku w wywiadzie pt. „Z dymem pożarów”, opublikowanym na łamach „Tygodnika Solidarność”, uczestniczka Powstania, oficer Armii Krajowej, Elżbieta Ostrowska ps. „Ela”.

Tytuł wywiadu nawiązuje do opowieści Ostrowskiej na temat sposobów komunikowania się w czasie Powstania z aliantami w sprawie zrzutów. Nadanie na fali BBC piosenki „Jeszcze jeden mazur dzisiaj” zapowiadał zrzut w kolejnym dniu, piosenka „Hej, Madziar pije” oznaczała, że samoloty startują z baz, a utwór „Z dymem pożarów” mówił, że tego dnia zrzutów nie będzie. Komunikacja ta była konieczna do oznaczenia miejsc zrzutów i zabezpieczenia ich przed Niemcami w obleżonym mieście. Na pytanie o swoją drogę do konspiracji, Ostrowska odpowiedziała: „Prawie dwa lata byłam harcerką, przyboczną drużynowej 48 drużyny harcerek na Mokotowie, Hanki Smoleńskiej [Anny Smoleńskiej ps. „Hanka”, autorki znaku Polski Walczącej – przyp. red.]. Po szoku, jakim było aresztowanie jej wraz z całą rodziną, objęłam po niej drużynę, działając i szkoląc się w ramach zadań przydzielanych Organizacji Harcerek. (...) Miałymy po 18-20 lat... Czy szykowaliśmy się do Powstania? Nie, początkowo nie. Raczej przygotowywaliśmy się do walki, do jawnej walki. Wiedziało się, że nad tym koszmarem nie można przejść do porządku dziennego, że otwarta konfrontacja musi nastąpić, że musimy być do niej gotowi”. Elżbieta Ostrowska relacjonowała: „nastój był taki, że koleżeńsko i towarzysko nie liczył się ktoś, kto nie brał udziału w konspiracji”. „Mieć broń – to marzenie wszystkich” – dodawała. Pytana o strach, stwierdziła: „Z myślą o śmierci musiałam się już dawno oswoić: w 1942 roku przydzielono mi truciznę, którą miałam zażyć w razie aresztowania.

Będąc w łączności dowodzenia, znałam wszystkie lokale i kontakty Mokotowa, miałam informacje z najwyższego szczebla” – wyjaśniła. Elżbieta Ostrowska przeżyła jednak wojnę i po okresie niemieckiej niewoli powróciła do kraju, aby tam – do końca życia – krzewić wiedzę o Powstaniu Warszawskim. Została odznaczona Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari.



Niegroźne dziwactwo czy poważne niebezpieczeństwo?

Scjentologia w obiegowym pojęciu kojarzy się zazwyczaj z Tomem Cruisem, tudzież z niegroźnymi dziwactwami gwiazd Hollywood. Jak jest naprawdę?

Sami scjentolodzy określają się jako „religijna organizacja non-profit, poświęcona propagowaniu rozwoju ducha ludzkiego oraz programom doradztwa i rehabilitacji”. Brzmi niewinnie, tymczasem świadectwa ludzi, którzy opuścili tę grupę – a raczej: uciekli z niej - mówią o związanym z nią potężnym zagrożeniu dla zdrowia psychicznego.



Mike Rinder

„Ratowaliśmy przecież ludzkość!”

Jednym z najmocniejszych świadectw swojego doświadczenia, związanego ze scjentologią, podzielił się na kartach książki pt. „Spowiedź scjentologa” Mike Rinder, niegdyś prominentny członek tej organizacji.

„W książce używam terminu «scjentologia» - nie nazwy «Scjentologia» pisanej wielką literą, która jest nazwą zastrzeżoną przez organizację. Używanie nazwy własnej w mniemaniu scjentologów nobilituje ten ruch, sytuuje go w gronie poważnych religii, takich jak katolicyzm czy judaizm, podczas gdy mnie chodzi o szersze, ogólne pojęcie, zaliczane raczej do takich kategorii jak «filozofia». Albo «socjopatja»” - pisze Rinder we wstępie do swojej książki.

Jak zaznacza sam autor, „Spowiedź scjentologa” powstała przede wszystkim z myślą o dzieciach Rindera, które w chwili ukazania się książki nadal

pozostawały w strukturach organizacji. Jak zaznacza ich ojciec, trudno się temu dziwić, ponieważ była to jedyna znana im rzeczywistość, w której przyszli na świat i w której zostali wychowani. „Pozwólcie, że zacznę od tego: wybaczone mi, że umieściłem Was w świecie, w którym Wasza przyszłość była z góry ustalona. To dla mnie trudne i bolesne – świadomość, że dałem Wam życie, w którym od najmłodszych lat odmawiano Wam jakiegokolwiek wolnej woli. Gdybym wtedy wiedział to, co wiem dziś, nigdy bym do tego nie dopuścił” - wyznaje ojciec w liście do swoich dzieci opublikowanym, na łamach książki.

„Już w kilka dni po urodzeniu zostaliście przekazani opiekunkom w żłobku. Kiedy rośliście, Wasza matka i ja rzadko się z Wami widywaliśmy, ale czuliśmy się usprawiedliwieni: uznaliśmy, że musimy realizować większe, o wiele ważniejsze cele. Ratowaliśmy przecież ludzkość, nie mieliśmy ani chwili do stracenia! Nic nie mogło nas odciągnąć od tej pracy - nawet perspektywa czasu spędzonego z Wami, naszymi dziećmi” - dodaje. W opinii Rindera jednak nawet większa ilość czasu, poświęconego wychowaniu własnych dzieci, niewiele zmieniłaby jeśli chodzi o przekazywane im informacje i wartości. „Byłem całkowicie oddany sprawie scjentologii. Myślałem wtedy, że skoro jestem najlepszym scjentologiem, jakim mogę być, jestem także tam dobrym rodzicem, jak to tylko możliwe” - wyznaje. Jak deklaruje autor „Spowiedzi scjentologa”, to właśnie jego dzieci stały się motywacją do napisania tej książki. „Może ktoś uzna, że to dziwne - napisać książkę dla dwojga czytelników. Mam jednak nadzieję, że te słowa pomogą Wam kiedyś podjąć

decyzję o znalezieniu własnego sposobu wydobycia się ze scjentologicznej bańki. Może nie dziś, może nie jutro - ale pewnego dnia. A tymczasem, jak sądzę, na świecie żyją także inni ludzie, którzy mają doświadczenia podobne do moich i dla których moja opowieść także okaże się pomocna” - wyraża nadzieję Rinder.

Utrata wolnej woli

„Spowiedź scjentologa” to wstrząsające świadectwo osoby poddanej wieloletniemu praniu mózgu i przemocy psychicznej, a z czasem także i fizycznej. Wszystko to jednak nie dzieje się od razu, ale bardzo stopniowo, powoli, metodą „gotowania żaby” tudzież „krojania salami”. Rinder opisuje w swojej książce mechanizmy żerowania na naturalnych ludzkich ułomnościach i powolnego omamiania ofiary szczytnymi ideami po to, by z czasem nie tylko utraciła ona wolną wolę i stała się posłuszna organizacji, ale także uwierzyła w to, że zasługuje na niewolniczą pracę i przemoc. Autor „Spowiedzi scjentologa” zetknął się z teoriami założyciela scjentologii Lafauette’a Ronalda Hubbarda bardzo wcześnie, bo już w dzieciństwie. Stało się tak za sprawą jego rodziców, którzy w dziełach Hubbarda poszukiwali odpowiedzi na dręczące ich pytania i sposobów na ulgę w cierpieniu, związanym z fizycznymi chorobami. „Spodobała im się obietnica usunięcia niechcianych emocji i braku pewności siebie, budowania lepszych relacji, wychowania dzieci tak, aby odnosiły w życiu sukcesy - a może nawet uratowania świata! Żadne z moich rodziców nie było religijne. Nigdy nie chodzili do kościoła, ale idea stania się lepszymi ludźmi i naprawy świata bardzo im się spodobała - podobnie zresztą jak wielu innym. Nie wydaje mi się,

żeby wtedy postrzegali scjentologię jako religię; w ich oczach była to raczej praktyka samopomocy i pracy nad sobą. (...) Przypuszczam, że na ojca wpłynęła także chęć odkrycia, skąd wzięły się jego cukrzyca i jeszcze jedna, nigdy nie zdiagnozowana choroba z czasów dzieciństwa (mogło to być polio), przez którą jego lewa ręka była słabsza i nieco krótsza niż prawa. Jednak niezależnie od powodów oboje wkrótce zaangażowali się w scjentologię i -podobnie jak wielu innych wyznawców - poświęcili jej całe swoje życie. Nowa ideologia całkowicie ich pochłonęła. Zapisali się (i zapłacili - w scjentologii wszystko kosztuje, a płaci się zawsze z góry) na wszystkie możliwe kursy o różnych aspektach nauczania Hubbarda” - dzieli się wspomnieniami Rinder.

Kompleksowy system wierzeń

Nauczanie założyciela scjentologii

obejmowało właściwie wszystkie aspekty życia. „Nie było rzeczy, których nie obejmowałaby jego rzekoma wiedza: wypowiadał się na każdy możliwy temat, od eliminowania fobii po wychowanie dzieci, od leczenia raka po metody podnoszenia ilorazu inteligencji czy «leczenia» homoseksualizmu (w swoich wczesnych książkach Hubbard uznawał homoseksualizm za zboczenie). Przekonany o własnym geniuszu, stwierdził, że jego wiedza o życiu jest większa niż wiedza kogokolwiek w całej historii świata.

To przekonanie było (i jest nadal) uznawane za prawdziwe przez jego wyznawców, którzy wierzą, że dzięki studiowaniu jego dzieł i słów także poznają jedyne prawdziwe odpowiedzi na wszystkie pytania, stawiane kiedykolwiek przez każdego człowieka na Ziemi” - wyjaśnia Rinder.

Kiedy jego rodzice przyjęli idee scjen-

tologiczne za swoje, wybór ten zdeterminował dalszą drogę wychowania i edukacji chłopca. Mike Rinder opisuje na kartach swojej książki rozmaite techniki psychologiczne, którym poddawany był już jako dziecko i które uitorowały mu drogę do pełnego zaangażowania się w scjentologię. Jak stwierdza, był całkowicie przekonany o słuszności filozofii, wybranej przez swoich rodziców i gotów na wszelkie poświęcenia w celu zwalczania w sobie każdej niedoskonałości, mogącej stanowić przeszkodę w drodze do rozwoju. Przyjęcie zasady o istnieniu wyższego celu, w imię którego można - a nawet warto - poświęcić swoje życie, zdrowie, wolność i godność, a także wyrzec się wszelkiej prywatności, dało Rinderowi paliwo do godzenia się na kolejne poświęcenia, niewolniczą pracę, odizolowanie od świata zewnętrznego i znoszenie upokorzeń.

W końcu jednak nadszedł moment otwarcia oczu i odnalezienia w sobie wewnętrznej siły, aby już więcej nie godzić się na przemoc i aby wybrać wolność. Droga do jej osiągnięcia nie była, co oczywiste, łatwa. Wymagała nie tylko olbrzymiej odwagi i wytrwałości, ale także bolesnych rozstań z najbliższymi osobami. Rinder opisuje prześladowania, jakie stały się jego udziałem po rozstaniu się z organizacją scjentologów. Jak jednak stwierdza, nie tylko nie zamierza się poddać w głoszeniu świadectwa o tym, co przeżył, ale także jest dumny z podjętych przez siebie kroków. Wspólnie z innymi sygnalistami, ujawniającymi nadużycia scjentologii, pomaga innym ludziom chcącym opuścić tę grupę. „Dwa lata temu razem z Christie [żoną Rindera - przyp. red.] założyliśmy organizację non profit - dołączyli do nas Luis Garcia, Aaron Smith - Levin, Marc i Claire Headleyowie i prawnik Ray Jeffrey. Aftermath Foundation ma za zadanie pomagać ludziom w ucieczce ze scjentologii - jest miejscem, do którego mogą się zwrócić o pomoc i wsparcie w czasie tego niezwykle trudnego przejścia. Pomogliśmy już dziesiątkom osób i działamy dalej” - pisze autor „Spowiedzi scjentologa”. I dodaje: „Ludzie często pytają mnie, dlaczego wciąż to robię. Zawsze odpowiadam zgodnie z prawdą: «Sprowadziłem na ten świat dwoje dzieci, które do dziś nie poznały lepszego życia. Chciałbym, aby miały szansę myśleć samodzielnie i podejmować własne decyzje». I dopóki tak się nie stanie, nie zamierzam przestać”.



Mieć rację, czy relację?

Ks. Stanisław Szlassa, kapłan i psychoterapeuta, a także mediator i trener umiejętności społecznych tłumaczy w swojej najnowszej książce, wywiadzie – rzece przeprowadzonym przez Katarzynę Matusz, że warunkiem tworzenia zdrowych relacji jest osiągnięcie pewnego poziomu wewnętrznej dojrzałości.



Wolność i szacunek

„Wolisz mieć rację czy relację?” – pyta często ks. Szlassa, wskazując na konieczne do budowania relacji warunki – szacunek i poszanowanie wolności. W opinii psychoterapeuty, im większa jest nasza samoświadomość i umiejętność rozpoznawania źródeł własnych emocji, a także zaopiekowania się nimi, tym więcej przestrzeni i wolności dajemy w relacji drugiemu człowiekowi, nie przytłaczając go i nie oczekując od niego rzeczy niemożliwych. Mamy też wówczas szansę na stanięcie przed drugim człowiekiem w prawdzie o sobie, ponieważ nie odgrywamy ról próbując „zasłużyć” na jego akceptację. Analogicznie przyjmujemy również drugiego człowieka takiego, jakim jest, co daje obu stronom szansę na wzrost.

Jak zaznacza autor książki „Kryzys relacji, kryzys wiary”, wiele procesów decydujących o nawiązaniu danej relacji dzieje się w naszej podświadomości. „Bardzo często ludzie wchodzą w relacje z małą świadomością. Na przykład, przychodzą do pracy i nie myślą o tym, że są tam, żeby pracować, ale czasem mają podświadome przekonanie, że są tam po to, aby nawiązywać relacje. Szukają tam przyjaciół, szeroko rozumianej rodziny” – tłumaczy ks. Szlassa. Temu

przemieszeniu ról i pojęć sprzyja stosowany w niektórych systemach korporacyjnych tzw. partnerski sposób zarządzania. „Nie ma wówczas podwładnych i kierowników, tylko jesteśmy sobie razem, mówimy sobie po imieniu, pomagamy sobie, teoretycznie każdy ma równe prawa itd. Efekt tego jest bardzo zgubny, ponieważ wszędzie muszą być zachowane jakieś role” – przestrzega kapłan.

Przemieszczenie ról na gruncie zawodowym skutkuje chaosem. „Ludzie wchodzi w relacje i nie mają świadomości, czym jest zespół, kim są osoby, z którymi się spotykają, jakie mają wobec nich podświadome oczekiwania. Brak świadomości wprowadza ogromne zamieszanie w przeżywaniu. Coś przeżywam, ale w zasadzie nie wiem, co.

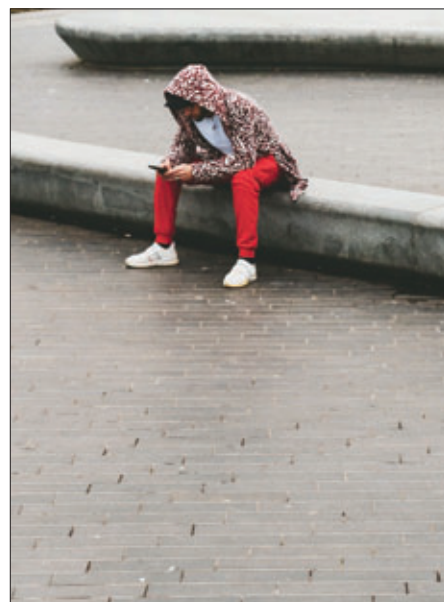
Po drugie, nie wiem, czy dobrze przeżywam, po trzecie, nie wiem, czy mam prawo to przeżywać, po czwarte, nie wiem, co mogę z tym zrobić i w efekcie zastanawiam się, czy coś ze mną jest nie tak, skoro odczuwam tak silne emocje w pracy” – wylicza psychoterapeuta.

Wybrane czy zadane?

W opinii ks. Szlassy, jedną z podstawowych pułapek, w jakie wpadamy bu-

dując nasze relacje, jest brak przejścia z etapu relacji zadanych – rodzinnych i środowiskowych – do relacji, które sami sobie wybieramy. Może to prowadzić do ciągłej frustracji i poczucia bycia uwięzionym w relacjach, które zastaliśmy, przychodząc na ten świat i w efekcie nie pozwalając nam na doświadczanie radości życia, lekkości, rozwoju i pełnej realizacji własnego potencjału. „Każdy z nas, na pewnym etapie swojego życia, ma prawo wybierać osoby do szczególnej relacji i więzi. Ma prawo przekroczyć te relacje zadane, które zostały mu dane przez środowisko, w którym się urodził, rodzinę, bliskich, sąsiadów, kolegów ze szkoły, studiów etc.

Ma prawo to przekroczyć i wybrać sobie osobę do bliskiej relacji, spośród tych, które zna, bądź spośród obcych. Ale w czym tkwi gwóźdź programu? W tym, czy masz kryteria. Jeżeli wybierasz, to ze względu na co wybierasz tę osobę, a tamtej nie wybierzesz? Dlaczego akurat z tą osobą idziesz na kawę, a z tamtą nie pójdziesz? Historia Jezusa pokazuje, że masz prawo. To nie jest źle, że z tą pójdziesz, a z tamtą nie. Nie jest tak, że



ze wszystkimi musisz, bo jesteś chrześcijaninem, a wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami. Masz prawo wybrać. Tylko pytanie: ze względu na co wybierasz?” – skłania do refleksji ks. Szlassa. „Jeśli mam świadomość, dlaczego wybieram daną osobę, czuję się bezpiecznie i mam poczucie sprawczości, wolności, szacunku do siebie i do drugiego człowieka. Da mi to też możliwość obronienia się przed zarzutami, wyrzutami sumienia, przed próbą wzbudzenia we mnie poczucia winy przez kogoś albo przez narzucenie jakiejś chorej wizji w stylu: «wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami i wszyscy się kochamy»” – dodaje. Co się stanie, jeśli nie przejmujemy kontroli nad własnym życiem, ale oddamy ją innym ludziom? „Wtedy są to relacje chore, niszczące. Dla mnie to jest ważne, że są relacje zadane i wybrane, tylko ja muszę to przemienić, jeżeli ma być rozwój. Nie może być tak, że relacje zadane muszą być relacjami wybranymi. Może tak być, ale to nie jest obowiązek. Możesz mieć bliską relację z siostrą, ale twoja matka nigdy nie będzie twoją przyjaciółką, bo jest matką”. „Matka, jak ci będzie zwracała uwagę, to chcesz, czy nie chcesz, słuchasz jej jak matki, a nie jak przyjaciółki. To jest na tej samej zasadzie, jak szef w pracy. W naszej konstrukcji mózgu jest na półce tzw. rodzica emocjonalnego. Jeśli w pracy słuchasz szefa, ale on definiuje ci się jako przyjaciel, to jako kto zwraca ci uwagę? Przyjaciel to przyjaciel, słuchasz go jak przyjaciela, a nie jak szefa. A przecież szef jako szef ma swoje prawa. Ma prawo skontrolować cię, twoją pracę, czy przychodzisz na czas, czy jesteś obowiązkowa,



sumienna. W wyniku przemieszania ról powstaje chaos. Szef z jednej strony jest przyjacielem, ale jednak z drugiej strony przeprowadza z tobą rozmowy okresowe i cię ocenia” – uświadamia na kartach swojej książki ks. Szlassa. „Rodzic ma tak wyjątkową pozycję w twojej głowie, twojej konstrukcji mózgowej, że słuchasz go jak rodzica i masz w stosunku do niego wymagania i oczekiwania, jak do rodzica. Jeżeli będzie tu przemieszanie, to jak ty się później uwolnisz? Nie uwolnisz się, bo to jest twój przyjaciel. Jednocześnie zaskakujące jest, jaką on ma siłę oddziaływania na cię. Jego opinia, jego oddziaływanie, jest czasami tak ważne, że działa jak wyrok. Na ogół zrobisz wszystko, żeby przyjaciółka – matka była z ciebie zadowolona” – tłu-

maczy.

Granice i role

Autor „Kryzysu relacji, kryzysu wiary” wiele miejsca poświęca w swojej książce kwestii właściwych granic i zajmowania zdrowych ról w rodzinie, społeczeństwie, Kościele, pracy etc. „Jeżeli te role będą poprzecinane, to na starość rodzica, dziecku będzie trudno się tym rodzicem zaopiekować. Trudno mu będzie dać opiekę, ponieważ to będzie rodzic – przyjaciel. Trudno będzie w takiej relacji nabrać koniecznego dystansu, zdać sobie sprawę, że rola matki się skończyła, że teraz ja, jako odrębna jednostka, córka czy syn, muszę przejąć opiekuńczą rolę. Aby to się udało, muszę najpierw uporządkować to w swojej głowie. Jeżeli tego nie zrobię, będę nadal z pozycji syna czy córki dbać o to, żeby rodzic był zawsze ze mnie zadowolony. W efekcie będę opiekował się rodzicem kosztem swojej rodziny, pracy, samego siebie” – ostrzega kapłan, zaznaczając, że najważniejsza dla dorosłego dziecka ma być jego własna rodzina, jego zdrowie i obowiązki zawodowe, toteż opiekę nad starszym rodzicem ma obowiązek sprawować w taki sposób, na jaki pozwalają mu możliwości, środki i siły. Celem nie może tu być zadowolenie starszego rodzica za wszelką cenę, a zadbanie o to, aby wypełnione zostały jego podstawowe potrzeby życiowe.

Ksiądz Szlassa wskazując na przyczyny obserwowanego ze swojej praktyki duszpasterskiej i zawodowej kryzysu relacji z Bogiem, ze sobą i z drugim człowiekiem, wymienia nadmierne oczekiwania, chęć otrzymania natychmiasto-



wej gratyfikacji, do jakiej przyzwyczajają nas media społecznościowe, a także nie-dojrzałość emocjonalną i chęć ucieczki od rzeczywistości i związanego z nią trudu. To wszystko składa się na coraz częstsze wybieranie „relacji” z przedmiotami i / lub aktywnościami zamiast z ludźmi oraz na plagę uzależnień.

„W relacji jesteście wszędzie tam, gdzie coś na nas oddziałuje i my na coś oddziałujemy. Znacznie łatwiejsza jest relacja z rzeczami niż z ludźmi. Łatwiejsza dlatego, że tylko jedna strona ma wówczas emocje i przeżycia. Druga strona ich nie ma. Nie emituje swoich emocji. Nie komunikuje ich. Dlatego nawiązanie relacji z komputerem, telefonem, samochodem, termomixem jest bardzo proste, wręcz pociągające, bo nawet, jeśli się wkurzysz pracując na komputerze, bo coś ci nie wychodzi, trzaśniesz klawiaturą, to za godzinę odpalisz ten komputer na nowo i on znowu powie: «Hello, witaj!». Znowu jest gotowy do pracy, otwarty na ciebie: «proszę bardzo, pracujmy dalej». Nie powie ci: «Jak ty mnie potraktowałeś ostatnio, trzaśnąłeś klawiaturą, z jakimi emocjami przychodzisz do mnie, uspokój się, weź się opanuj» – tłumaczy psychoterapeuta.

Rozwiązanie? Niby banalne, a tak



trudne – powrót do korzeni. Do ciszy, kontaktu z Bogiem, modlitwy, medytacji, uspokojenia myśli, uporządkowania wewnętrznego. Przyjęcie trudu, który rozwija, a przede wszystkim – zgoda na siebie i własne niedoskonałości. „Dlatego chciałbym życzyć wszystkim Czytelnikom, żeby spróbowali pielęgnować zgodę na samych siebie, takich, jakimi są. Żeby pielęgowali tę zgodę na siebie, drugiego człowieka, świat, rzeczywistość, w której żyją i Boga, na rela-

cję z Nim, taką, jaka ona jest. Zgoda nie oznacza, że nie można dokonywać zmian. Zgoda nie oznacza, że nie można poprawiać. Zgoda nie oznacza, że nie można iść dalej. Chodzi o to, by nie bok-sować się, nie żyć ciągle przegraną, nie mierzyć swojego życia fantazją, przyszłością, ale być tu i teraz” – puentuje ks. Szlassa.

Tomasz Siarzewski

Zielona, z widokiem na morze

Gdynia, bo o niej mowa, zyskała prawa miejskie zaledwie niecałe 100 lat temu, bo w roku 1926, a mimo to jest dziś jednym z najbardziej znanych nadmorskich ośrodków turystyczno – przemysłowych, a także symbolem polskiego międzywojennego sukcesu.



Gdynia, Kamienna Góra - panorama



Gdynia, Dom Żeglarza Polskiego

Musimy mieć polski port!

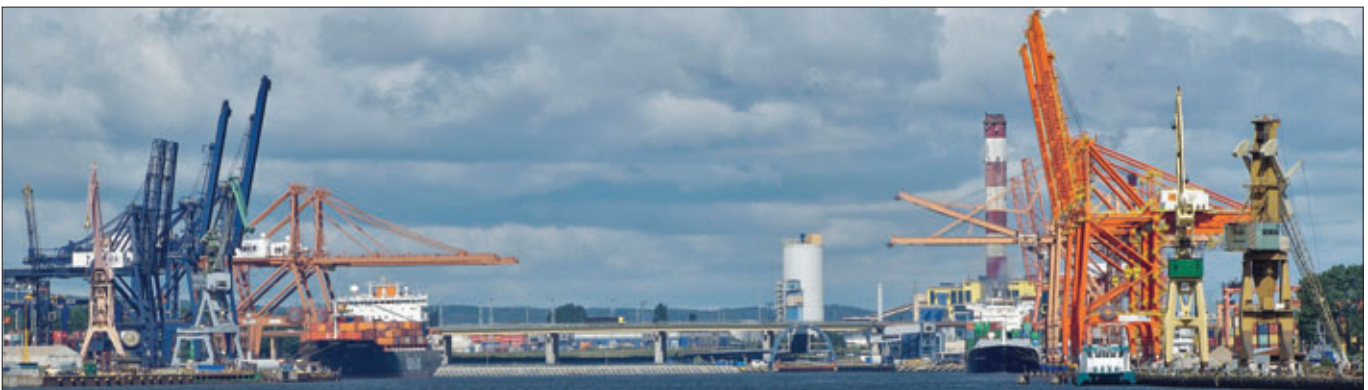
Nazwa niegdysiejszej osady, dziś miasta Gdynia, ma, podobnie jak Gdańsk, źródłosłów prasłowiański oznaczający „mokry, bagienny, wilgotny”, a także „zarośnięty”. Źródła pisane odnotowują pojawienie się nazwy „Gdina” już w 1253 roku.

Do okresu międzywojennego Gdynia była malowniczo położoną osadą rybacką. Kiedy jednak zdecydowano (po burzliwych naradach, podczas których prelegentom zdarzało się walić pięścią w stół!) o wyborze tego miejsca na budowę portu, rozpoczął się jego dynamiczny rozwój infrastrukturalny, połączony z szybkim napływem ludności.

Budowa portu alternatywnego wobec tego znajdującego się w niepewnej sytuacji Wolny Mieście Gdańsku była konieczna zarówno ze względów handlowych i militarnych. „Gdy Sejm Ustawodawczy 10 lutego 1920 r. przyjmował ustawę o potrzebie budowy portu morskiego – nim wybór padł na Gdynię – przez kraj przetoczyła się dyskusja na temat najlepszej lokalizacji. Pomysłów było kilka, ale poważnie zajmowano się

trzema” – wskazuje Małgorzata Sokółowska na łamach artykułu pt. „Burzliwe dzieje lokalizacji portu morskiego. Na stulecie portu w Gdyni”, opublikowanego w „Biuletynie IPN”. Koncepcja umieszczenia portu w okolicach Jeziora Żarnowieckiego została odrzucona z powodu zbyt bliskości Niemiec. Przez moment rozważana była także kandydatura Pucka, jednak najwięcej zwolenników miała koncepcja budowy portu w Gdyni. „Było jasne, że rozwinąć jakąkolwiek działalność na morzu można nie inaczej, jak posiadając nad morzem odpowiednią bazę, i to bazę własną. Oczywiście było, że Gdańsk, z którym stosunki nie układały się pomyślnie, za taką bazę uważanym być nie może. Za jedyne wyjście, odpowiadające interesom Polski, uważałem budowę portu w Gdyni. Wychodziłem przy tym z założenia, że również floty handlowej nie można tworzyć w Gdańsku, z góry nieprzychylnie usposobionym do pracy polskiej. W związku z tym postanowiłem cały swój wysiłek poświęcić budowie portu w Gdyni. Tak czy inaczej, również pod wpływem Ligi [Narodów – przyp.

red.], sprawa portu dla Polski została postanowiona. Lecz Gdynia miała swoich przeciwników i rywali. Niejaki inżynier leśnik Julian Rafalski napisał broszurę o porcie w Pucku. Uzasadnienia nie było żadnego, lecz inżynier Rafalski Zatokę Pucką – od rafy mew do przecięcia Helu – pokrył basenami, nie przewidując zresztą żadnej ochrony wejścia od strony otwartego morza. W rezultacie rozmiary projektowanego portu okazały się większe niż wszystkich portów niemieckich razem wziętych” – pisał wówczas inż. Julian Rummel, dyrektor biura Ligi Morskiej w Warszawie. Z kolei kandydatura Tczewa została odrzucona jako zbyt kosztowna, co wykazywał inż. Tadeusz Wenda: „Pogłębienie rzeki Wisły do rozmiarów niezbędnych dla statków morskich za pomocą bagrowania jest technicznie niewykonalne i mogłoby być urzeczywistnione tylko za pomocą służowania Wisły na przestrzeni między Tczewem i jej ujściem, co byłoby bardzo kosztowne i trudne do wykonania ze względu na wielkie zmiany poziomu wód, na rumowisko, jakie niesie Wisła, i na zimowe lody. Dlatego myśl połącze-



Gdynia, Terminal kontenerowy



ORP Błyskawica

nia Tczewa z morzem za pomocą pogłębnika Wisły musiała być zaniechana”. Inżynier Wenda stwierdził, iż „najdogodniejszym miejscem do budowy portu wojennego (jak również w razie potrzeby handlowego) jest Gdynia, a właściwie nizina między Gdynią a Oksywą, położoną w odległości 16 km od Nowego Portu w Gdańsku”.

Nowa „Ziemia Obiecana”

I tak się faktycznie stało. „Zanim jednak Sejm uchwalił ustawę o budowie portu, nad zatoczkę u podnóża Kamiennej Góry i klifu w Orłowie przybywali na wczasy letnicy. Był wśród nich jeden z największych ówczesnych pisarzy polskich – Stefan Żeromski. W 1921 roku bacznie przyglądał się trwającym już robotom przy budowie tymczasowego portu wojennego i schroniska dla rybaków. W pracach tych, które zainspirowały go do napisania książki «Wiatr od morza» dostrzegł początek nowej epoki, wielką szansę tego miejsca. W książce przedstawił jeszcze nieistniejący, ale, jak się niebawem okazało, zaskakująco wierny rzeczywistości obraz portu i miasta” – czytamy na portalu gdynia.pl w artykule Barbary Betlejewskiej, Joanny Grajter i Małgorzaty Omachel - Kwidzińskiej pt. „Na początku było marzenie. Historia Gdyni w pigułce”.

Pięknie położony dworek w Gdyni – Orłowie, w którym zatrzymywał się w czasie wakacji Stefan Żeromski można podziwiać do dziś. Wybitny pisarz, choć po raz pierwszy odwiedził to miejsce dopiero po pięćdziesiątce, pozostał mu wierny aż do śmierci. Lubił rozmawiać z lokalnymi mieszkańcami, z intelektualistami, ale także z prostymi ludźmi. „Szybko zorientowawszy się w lokalnych problemach, Żeromski stał się rzecznikiem praw Kaszubów w odrodzonej Polsce. Już 7 lipca 1920 roku zorganizował, wraz z innymi, w sali gdyńskiego Kurhausu, wiec poświęcony nadziejom Kaszubów i sposobom zaradzenia krzywdom, które ich spotkały od rządu centralnego. Na wiecu tym powołano Towarzystwo Przyjaciół Pomorza. Żeromski wszedł do jego tymczasowego zarządu” – pisze na



Dworzec Gdynia Główna

łamach „Teologii Politycznej” Katarzyna Sobolewska. „Jednocześnie studiował rozprawy naukowe, wertował słowniki. Robił tak zresztą zawsze, ilekroć chciał wypowiedzieć się publicznie w jakiejkolwiek sprawie. Tym razem jego studia, wywiady i kwerendy miały dotyczyć historii, geografii, kultury i dziejów osadnictwa na południowym wybrzeżu Bałtyku. Tak powstał «Wiatr od morza», dedykowany córce pisarza, Monice. Opublikowany w 1922 r. jest dziełem erudyty, poety i patrioty, a także kolekcjonera słów. Składa się z niepowiązanych ze sobą opowieści, bajek, relacji historycznych, fragmentów biografii czy reportażu. Kolejne części książki nie mają tytułów, toteż od pierwszych jej stron czytelnik wkracza w dżungłę wydarzeń historycznych, odwołań geograficznych i szczegółów technicznych, postaci wodzów, władców, uczonych i świętych, o których nie wie, dokąd go w końcu zaprowadzą. Z czasem zauważa, że wszystkie wątki utworu łączy ziemia, na której się rozwijają. Jest to teren Pomorza. Czas, w którym rozgrywają się opisane wydarzenia, sięga od wczesnego średniowiecza do lat dwudziestych XX wieku. Postacią zaś łączącą większość opowieści jest Smętek,

jeden z kaszubskich diabłów od zarania przesładujący tę ziemię, symbol przemocy i zbrodni, uosobienie wszelkiego zła” – wyjaśnia autorka tekstu pt. „Żeromski pisze Wiatr od morza”. W opinii Sobolewskiej, nie brakuje przesłanek pozwalających przypuszczać, że cykl opowieści poświęconych powrotowi Polski nad Morze Bałtyckie pozbawił Żeromskiego literackiej Nagrody Nobla. „Niemiecka krytyka oskarżyła „Wiatr od morza” o wojujący nacjonalizm. Komitet Noblowski, po Wielkiej Wojnie szczególnie wrażliwy na tego typu zarzuty, z dwóch polskich twórców, obecnych od lat na literackiej giełdzie, wybrał w 1924 r. tego, który budził mniej kontrowersji: Władysława Reymonta. Żeromski przyjął ten werdykt spokojnie, polscy czytelnicy? z ogromnym zdumieniem i rozczarowaniem. Smętek zaś święcił swój kolejny triumf” – puentuje autorka tekstu.

Żeromski stał się jednym z duchowych patronów Gdyni, stroną praktyczną budowy miasta zajął się inżynier Tadeusz Wenda, a polityczny wymiar i właściwą rangę nadał tej niezwykle ważnej inwestycji Eugeniusz Kwiatkowski. „Z zawodu inżynier chemik, z pasji – polityk. Od chwili objęcia przez niego stanowiska Ministra Przemysłu i Handlu w 1926 roku (a także wówczas, gdy pełnił funkcje wicepremiera w ostatnim rządzie II Rzeczypospolitej, przed wybuchem II wojny światowej) sprawa budowy portu w Gdyni nabrała tempa. Był on bowiem wielkim propagatorem morskiej polityki państwa w oparciu o nowoczesny port. To dzięki jego orędownictwu Sejm przyznawał stosowne fundusze na rozwój portu i miasta, które dla przedwojennego pokolenia Polaków było prawdzi-



wą Ziemią Obiecaną. W okresie, kiedy Kwiatkowski był Ministrem Przemysłu i Handlu, wartość robót inwestycyjnych w porcie gdyńskim wynosiła 88 mln złotych” – przypominają autorki portalu gdynia.pl.

Życie „bardziej ludzkie”

Niestety, wojna przerwała dynamiczny rozwój miasta i choć Gdynia nie poniosła w latach 1939-45 tak ogromnych zniszczeń, jak choćby Warszawa, to jednak straciła ogromną część swojego najcenniejszego „kapitału” – ludzi. „Wojna rozpoczęła się 1 września 1939 r. od ataku Niemców na polską wojskową składnicę tranzytową na Westerplatte. Kilka minut później agresor zaatakował polskie placówki na granicy Wolnego Miasta Gdańska z Gdynią. Obrona miasta usytuowana była na jego przedpolach. W odległości kilkunastu kilometrów. Gdyni broniła Ładowa Obrona Wybrzeża i część Floty Wojennej pozostała w kraju. Walki w obronie miasta to jeden z najchlubniejszych epizodów wojny obronnej Polski w 1939 r. Trwały one nieprzerwanie 19 dni w dzień i w nocy. obrońcy nie mogli się wycofać, gdyż z trzech stron od lądu stały wojska niemieckie, a ich zapleczem było morze. Zostali zwyciężeni, ale nie poddali się... Gdynia poniosła wielkie straty w czasie wojny. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi pozabawiono domów, mienia i wysiedlono do Generalnej Guberni. Zdewastowano port - wizytówkę miasta - zbudowanym wielkim wysiłkiem w okresie międzywojennym. Zmieniono nazwę miasta na Gotenhafen” – wylicza Grzegorz Piwnicki w tekście pt. „Polski wrzesień 1939 roku w Gdyni”, opublikowanym na łamach „Zeszytów Gdyńskich”.



Gdynia, Kościół parafialny pw. NMP Królowej Polski

Po wojnie do Gdyni wracali nie tylko dawni mieszkańcy miasta, którzy trafili do Niemiec na roboty przymusowe czy do obozów pracy. Szukali tutaj swojego nowego miejsca także wysiedleńcy z terenów Rzeczypospolitej, które po 1945 roku znalazły się w granicach ZSRR – wilnianie czy lwowiacy, jak również dawni warszawiaczy, których miasto zostało przez Niemców zamienione w gruzowisko. Gdynia przyciągała perspektywami rozwoju i duchem wolności, który sprawił, że cyklicznie dochodziło w tym mieście do buntów robotników przeciwko okupacyjnej władzy sowieckiej. To tutaj poległ w 1970 roku m.in. młody stoczniowiec Zbyszek Godlew-

ski, upamiętniony w „Balladzie o Janku Wiśniewskim”. W 1980 roku Gdynia zastrajkowała solidarnie z robotnikami z Gdańska, a przywódcą strajku został wówczas Andrzej Kołodziej, uczestniczący jako młody chłopak także w niepodległościowym zrywie robotników w 1970 roku. W 1987 Gdynię odwiedził papież Jan Paweł II, którego powitało kilkaset tysięcy osób. W „homilii do ludzi morza” podkreślał wówczas: „Solidarność musi iść przed walką. Wówczas ludzkość może przetrwać. I może przetrwać i rozwijać się każdy naród w wielkiej ludzkiej rodzinie. Bo co to znaczy solidarność? Solidarność to znaczy sposób bytowania wielości ludzkiej, na przykład narodu, w jedności, w uszanowaniu wszystkich różnic, wszystkich odmienności, jakie pomiędzy ludźmi zachodzą, a więc jedność w wielości, a więc pluralizm, to wszystko mieści się w pojęciu solidarności. Sposób bytowania ludzkiej wielości mniejszej lub większej, całej ludzkości, poszczególnego narodu, bytowania w jedności godnej człowieka. Powiedziałem: solidarność musi iść przed walką. Dopowiem: solidarność również wyzwala walkę. Ale nie jest to nigdy walka przeciw drugiemu. Walka, która traktuje człowieka jako wroga i nieprzyjaciela — i dąży do jego zniszczenia. Jest to walka o człowieka, o jego prawa, o jego prawdziwy postęp: walka o dojrzałszy kształt życia ludzkiego. Wtedy bowiem to życie ludzkie na ziemi staje się «bardziej ludzkie», kiedy rządzi się prawdą, wolnością, sprawiedliwością i miłością”.



Spod Wawelu na Westerplatte

O wyjątkowym krakowskim Teatrze Exit pisaliśmy już na naszych łamach, relacjonując wyprawę aktorów do Laponii. W tym roku niepełnosprawni artyści po raz kolejny udowadniają, że niemożliwe nie istnieje. W ramach popularyzacji projektu „Eliasz” przemierzyli całą Polskę – z Krakowa na Westerplatte.



„Popatrz w swoje wnętrze”

Spod Wawelu ruszył w drogę wyjątkowy duet - aktor na wózku - Kamil Padlikowski i biznesmen na rowerze - Paweł Koczur. Po dwóch tygodniach niezwyklej podróży dotarli na Westerplatte.

Ich celem było zebranie pieniędzy na realizację filmu „Eliasz”, opowiadającego historię biblijnego proroka, w którym Kamil zagra główną rolę, ale uczestnicy wyprawy nieśli – a raczej wieźli – ze sobą także prywatne intencje do przemyślenia i przemodlenia.

Kamil chciał, aby podróż przez całą Polskę stała się aktem, zamykającym trudny okres niżki formy psychicznej, jaki stał się jego udziałem w wyniku pandemii i związanej z nią izolacji, Paweł chciał przemyśleć parę kwestii zawodowych i dotyczących jego dalszej życiowej.

Wyprawę obaj mężczyźni zawierzili Bożej Opatrzności i – jak opowiada-

li – doświadczali jej podczas niełatwej przecież podróży przez Polskę. „Spotykaliśmy na swojej drodze wspaniałych ludzi, którzy oferowali nam pomoc, uśmiech, dobre słowo, częstowali nas jedzeniem i pić, proponowali noclegi” – relacjonowali uczestnicy wyprawy. Nie wszyscy jednak patrzyli na ich projekt z sympatią. „Zdarzały się nieprzyjemne i pozbawione empatii komentarze bądź odwracanie wzroku, jak to w życiu i między ludźmi. Za wszystkie spotkane po drodze osoby modlimy się i życzymy im wszelkiego dobra” – podkreślali Padlikowski i Koczur.

Wyprawa spod Wawelu na Westerplatte miała oprócz wymiaru praktycznego, związanego ze zbiórką na film, także aspekt duchowy, który jest sensem istnienia Teatru Exit.

„Otwórz oczy i popatrz w swoje wnętrze! Czy jesteś zadowolony ze swego życia?” – tymi słowami rozpoczyna się hymn Teatru Exit, w którym wspólnie

grają (i śpiewają) osoby na wózkach, nievidome oraz aktorzy zdrowi. Teatr ten stawia na wartości duchowe, pokazując historie biblijne o uniwersalnym wymiarze, w których odnaleźć może się człowiek współczesny – z pozoru nasycony wieloma dobrami, a często wewnętrznie bardzo pogubiony i spragniony odnalezienia niematerialnego celu życia. Krakowski teatr pokazuje, że obecna rzeczywistość, choć odległa w czasie od historii bohaterów, opisywanych na kartach Biblii, niesie te same problemy i dylematy, z którymi mierzyli się ludzie kilka tysięcy lat temu. Każdy z nas może odnaleźć cząstkę siebie w historiach Hioba, Eliasza czy Jonasza. Biblijne opowieści mówią o samotności, cierpieniu duchowym i fizycznym, bezsilności, utracie wiary, „kłótniach” z Bogiem, zmęczeniu, depresji, ale także o tym, w jaki sposób Bóg potrafi wyprowadzić dobro z pozornie beznadziejnych sytuacji i przynieść nadzieję tam, gdzie ludzkie cierpienie wydaje się nie do zniesienia. Teatr Exit to także przypomnienie o tym, że „w glinianych naczyńcach nosimy skarb”. O tym,





Zamek na Wawelu

że każdy z nas w pewnym okresie życia może doświadczyć słabości, choroby, utraty czegoś niezwykle ważnego, własnej kruchości i lęku. I że rozwiązaniem nie jest ukrywanie cierpienia przez drugim człowiekiem, ale pozwolenie mu na przyjście z pomocą. Aktorzy Teatru Exit grają całymi sobą, nie chowają się za maskami, dzielą się całą swoją wrażliwością. Odbiorców, przyzwyczajonych do ukrywania emocji, a zwłaszcza do chowania dla siebie własnego lęku czy bólu, z początku konfrontacja z prawdą o człowieku, o ludzkim cierpieniu i o głębokich egzystencjalnych dylematach, krępuje, jeśli jednak zdecydują się oni przewyciężyć dyskomfort, związany z lękiem przed własną kruchością, przeżywają prawdziwe katharsis – a taka jest przecież idea teatru.

„Wstań i jedź”

Bohater, którego historię w szczególny sposób chcą przybliżyć aktorzy Teatru Exit to Elias, który – choć żył tak dawno - jest duchowo bardzo bliski współczesnemu człowiekowi. Przeżywa depresję, która jest plagą XXI wieku. Jest do tego stopnia zagubiony, zmęczony, osamotniony, głodny i pozbawiony nadziei, że modli się o śmierć. Bóg jednak w odpowiednim chwili interwe-

nuje. W pewnym momencie Eliasz słyszy: „Wstań i jedź, bo przed Tobą jeszcze długa droga”. Przyniesiony prorokowi przez aniołów posiłek symbolizuje życiodajne Boże Słowo, ale stanowi także starotestamentalną zapowiedź Pokarmu Eucharystycznego, dzięki któremu człowiek niesie w sobie Boże życie i ma zdolność do przekraczania kruchości własnego ciała i psychiki. „Elias – charyzmatyczny prorok, cudotwórca, a zarazem kruchy psychicznie człowiek, walczący z pokusą wielkości, dramatycznie przeżywający swoje powołanie. Jego służba Bogu stała się wzorcowa dla wszystkich, którzy mają powołanie kapłańskie. Wbrew temu, co powszechnie sądzi się o ludzkich słabościach jako przeszkodach w realizacji celów powołania, okazuje się, że są one ułatwieniem dla objawienia się Bożej mocy” – pisze w swojej książce „Elias – depresja powołanego” bibliistka i psychoterapeutka Debora Sianożęcka.

Karmelici Bosi przypominają: „Eliasz to jeden z największych proroków Starożytności. Żył w IX w. przed Chrystusem. Swą działalność rozwijał zwłaszcza za rządów króla Achaba (874-853); zakończył ją za czasów króla Ochozjasza (853-852). Wspomina go

Księga Kronik, ale znany jest przede wszystkim dzięki Księgom Królewskim. Jego imię wyznacza równocześnie program działalności – oznacza bowiem «Jahwe jest moim Bogiem». «Na górze Karmel stoczył duchowy pojedynek z kapłanami bożka Baala, zwyciężając w Imię Boga Jedyne. Od pierwszych wieków chrześcijaństwa na tę górę przybywali pustelnicy, pragnący naśladować płomienną wiarę Eliasza. Po wiekach stał się duchowym patronem Zakonu NMP z Góry Karmel. To on, modląc się o deszcz, wyprosił mały obłok, w którym potem Ojcowie Kościoła zobaczyli symbol Matki Boga-Człowieka. Maryja jest obłokiem, z którego spadł deszcz: oczekiwany Zbawiciel świata. Zawołaniem Eliasza, które przejęli po nim karmelici, są słowa: «Żyje Bóg, przed którego Obliczem stoję» i „Gorliwością rozpalilem się o chwałę Pana Zastępów”- czytamy na stronie zakonu karmelitów. „Św. Hieronim pisze (...): «Kaźde powołanie ma swego doskonałego przedstawiciela za patrona. Biskupi i kapłani jako wzór mają Apostołów i ludzi przejętych duchem apostołskim; powinni więc starać się być ich godnymi naśladowcami, ponieważ współuczestniczą w ich chwale. My natomiast, pustelnicy, chcemy na-



Grotta Eliasza w Hajfie

śladować Pawłów, Antonich, Julianów, Makarych i - jeżeli można odwołać się do autorytetu Pisma Świętego - naszych przywódców, Eliasza i Elizeusza oraz ich duchowych synów, którzy żyli wśród pól w odosobnieniu i rozbijali swe namioty nad wodami Jordanu» (Epistola 58 ad Paulinum, PL 22, 583). Głębokie przekonanie pustelników z Karmelu, że dziedziczą ducha Eliasza, wycisnęło na zakonie karmelitańskim szczególnie znamię. Prorok uznawany jest przez karmelitów za duchowego ojca i prototyp świętości karmelitańskiej” – wskazuje na stronie karmel.pl ojciec Jerzy Zieliński.

Historia Eliasza jest inspiracją i misją Teatru Exit. Biblijny bohater stał się duchowym patronem rowerowej podróży przez Polskę. „Byliśmy światłem dla ludzi, którzy nie widzieli już nadziei” - podkreśla Kamil Padlikowski w rozmowie z „Dziennikiem Polskim”. „Pewien człowiek - Maciek - dowiedział się o nas z internetu.

Pomógł nam dojechać do miasta, ciągnął mój wózek przez kilkanaście kilometrów do Torunia. Miał ze sobą megafon, przez który zapraszał ludzi na spotkanie z nami. Przyszedł pewien mężczyzna, patrzył na nas, ale nie przyjmował tego, co mówimy. Chciałem mu powiedzieć, że jest inna droga poza totalną ciemnością i beznadzieją. Zresztą

w czasie wyprawy często spotykaliśmy osoby, które przechodziły rozmaite kryzysy” – zaznacza aktor.

Nieprzypadkowo premiera projektu „Eliasz” rozpoczęła się w miejscowości Nattavara, której nazwa oznacza „dolinę mroku”. Wyprawę Teatru Exit do Japonii opisywaliśmy na naszych łamach w zeszłym roku. „Pomyślałem, że dolina mroku to jest dokładnie to miejsce, w którym znajdujemy się jako ludzkość” – mówił wówczas Maciej Sikorski, twórca teatru.

Ciemność nigdy nie jest jednak całkowita, jeśli oświetla ją nadzieja. Misją Teatru Exit to właśnie wchodzenie w ciemność po to, żeby zapalać w niej światełka nadziei oświetlające drogę do wyjścia. Pięknym symbolem czuwającej nad Teatrem Bożej Opatrzności stał się taniec zorzy polarnej, która pokazała się na niebie ostatniego dnia pobytu aktorów w „dolinie mroku”.

Agnieszka Żurek

Fot. ze zbiorów teatru EXIT,
domena publiczna



Pomnik Westerplatte

Rok Kazimierza Wierzyńskiego – 130 rocznica urodzin poety, prozaika



Kazimierz Wierzyński urodził się 27 sierpnia 1894 roku w Drohobyczu. Był synem Andrzeja Wirstleina-Wierzyńskiego i Felicji z Dunin-Wasowiczów. Miał brata Hieronima. Uczęszczał do szkół w Drohobyczu i Chyrowie. Po ukończeniu gimnazjum klasycznego w Stryju (1912) przez rok na Uniwersytecie Jagiellońskim studiował polonistykę, romanistykę, filozofię, a w Wiedniu slawistykę, filozofię i germanistykę. Brał udział w ruchu niepodległościowym (członek Drużyn Strzeleckich i Zarzewia – organizacji młodzieżowej). Wstąpił do Legionu Wschodniego (ochotnicza polska formacja wojskowa), po jego rozwiązaniu wcielony został do armii austriackiej. W 1915 roku dostał się do niewoli rosyjskiej, przebywał w obozie jeńców w Riazaniu (ponad 2 lata). Opanował język rosyjski. Po ucieczce (1918) uczestniczył w działalności konspiracyjnej w Kijowie. Po przedostaniu się do Warszawy włączył się w życie literackie – współpracownik pisma „Pro arte et studio”, uczestnik wieczorów „Pod Pika-dorem” – poetyckiego kabaretu, współzałożyciel grupy literackiej „Skamander” (wraz z Julianem Tuwimem, Antonim Słonimskim, Janem Lechoniem, Jarsławem Iwaszkiewiczem). Redagował pisma w Równem i Kijowie.

Po zakończeniu I wojny światowej krótko przebywał w Szwajcarii i Francji. Po osiedleniu się w Warszawie współpracował z „Wiadomościami Literackimi”, redagował „Przegląd Sportowy”, „Kulturę”, był publicystą, recenzentem literackim i teatralnym „Gazety Polskiej”. W 1923 roku poślubił aktorkę Bronisławę Kojalłowicz. Po rozpadzie małżeństwa powtórnie ożenił się z Haliną Pfeffer.

W wrześniu 1939 roku wraz z redakcją „Gazety Polskiej” ewakuował się do Lwowa. Następnie przez Francję, Portugalię, Brazylię przybył w 1941 roku do Stanów Zjednoczonych. W 1943 roku był założycielem „Tygodnika Polskiego” w Nowym Jorku. W czasie wojny stracił prawie całą rodzinę: w 1943 roku zginął na Majdanku brat Hieronim (sprawozdawca sportowy), a w 1944 roku przyrodni brat Bronisław (inżynier). W tym samym roku zmarli rodzice.

Po wojnie pozostał na emigracji, nie akceptował postanowień jałtańskich – podporządkowania Polski sowietom. Przez 20 lat mieszkał w wiosce rybackiej na Long Island. Współpracował z londyńskimi „Wiadomościami”, paryskim Instytutem Literackim i Radiem Wolna Europa. Po powrocie do Europy osiedlił się najpierw w Rzymie, a następnie w Londynie, gdzie zmarł 13 lutego 1969 roku. Prochy, sprowadzone do kraju w 1978 roku, pochowane zostały na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Twórczość

Kazimierz Wierzyński debiutował w 1913 roku wierszami w pisemkach galicyjskich. Pierwsze tomiki *Wiosna i wino* (1919) i *Wróble na dachu* (1921) przyniosły autorowi popularność dzięki optymizmowi i radości z racji odzyskania niepodległości. W dalszych tomach *Wielka niedźwiedzica* (1923) z wierszami wojennymi 1914-1918, *Pamiętnik miłości* (1925), *Rozmowa z puszcza* (1929) euforyczny nastrój przechodzi w refleksję na temat życia i świata. Katastroficzną wizję współczesnej cywilizacji zawierają *Pieśni fanatyczne* (1929) i *Gorzki urodzaj* (1933). *Laur olimpijski* (1927) obrazował heroizm sportu i przyniósł złoty medal na olimpiadzie w Amsterdamie. Za dzieło swojego życia uważał Kazimierz Wierzyński *Wolność tragiczną* (1936), której bohaterem jest

Józef Piłsudski i niepokój o przyszłość polskiej włości – niedawno zdobytej i już zagrożonej. *Kurhany* (1938) zapowiadały nadciągającą wojnę. Przedwojenny okres twórczości zamknął wiersz *Wstążka z Warszawianki* zamieszczony w ostatnim numerze „Wiadomości Literackich” (IX 1939).

W latach wojny wiersze Kazimierza Wierzyńskiego towarzyszyły żołnierzom polskim w walce o wolność ojczyzny i ocalenie wartości humanitarnych: *Ziemia Wilczyca* (1941), *Róża wiatrów* (1942), *Krzyże i miecze* (1946). Tragedia wojny załamała siły twórcze. Dźwigał się z tej zapaści pisząc *Życie Chopina* (wydanie angielskie 1949).

W poezji powojennej dominowała liryka nostalgiczna i medytacyjna. Poematy *Korzec maku* (1951), *Siedem podków* (1954), *Tkanka ziemi* (1960), *Kufer na plecach* (1964), *Czarny polonez* (1968), *Sen mara* (1969) stanowiły nowy rozdział w twórczości poety; były to przemyślenia o kulturze, sztuce, roli poety, więzi z ojczyzną.

Kazimierz Wierzyński pozostawił po sobie tomy prozy. *Granice świata* (1933) i *Pobojowisko* (1944) wypełniły opowiadania o wydarzeniach obu wojen. W *Garderie duchów* znalazły się recenzje i felietony teatralne. *Współczesna literatura polska na emigracji* (1943) to szkic odczytowy. *Moja prywatna Ameryka* (1966) przekazywała obrazy przyrody, historii i mieszkańców tego kontynentu. Zbiór esejów wspomnieniowych otrzymał tytuł *Cygańskim wozem. Miasta, ludzie, książki* (1966).

Kazimierz Wierzyński jest (dla niektórych) największym polskim poetą XX wieku. Międzynarodowy rozgłos zapewniły mu *Laur olimpijski* i *Życie Chopina* – tłumaczone na wiele języków świata. Sam twórca uważał się za rozbitka, oddalonego od ojczyzny, skazanego na wieczną tułaczkę.

Barbara Krajewska,
Anna Mansfeld-Slaski
Fot. pixabay

NA ZDROWIE



Ruszczyk kolczasty

Ruszczyk kolczasty

Ruszczyk kolczasty, zwany też myszopłochem kolczastym, jest wieloletnią rośliną z rodziny szparagowatych, blisko spokrewnioną z konwalia majowa, wywodzącą się z basenu Morza Śródziemnego i Morza Czarnego. Obecnie spotkać ją można na całym świecie. W Polsce występuje głównie w parkach i ogrodach.

Myszopłoch kolczasty jest niewielkim zimozielonym krzewem (1 m wysokości) o sztywnych, wzniesionych, wyprostowanych i rozłożystych gałęziach. Z małych - w kształcie łusek - liści wyrastają ciemnozielone, kolczaste pędy (gałęziaki).

Drobne, żółtobiałe kwiaty kwitną na środku gałęziaków od marca do kwietnia. Czerwonawe, kuliste owoce, zawierające 1-2 nasiona, dojrzewają we wrześniu i pozostają na krzewie przez całą zimę.

Zbawienne na zdrowie działanie ruszczyka kolczastego znane było już w starożytności np. w kamicy nerkowej. W średniowieczu stosowano go do usuwania ociążałości nóg, przy żółtaczce,

podagrze, kamieniach żółciowych i nerkowych, żylakach i hemoroidach.

W medycynie i ziołolecznictwie wykorzystywane są kłącza ruszczyka kolczastego - zbierane we wrześniu. Mają one delikatnie słodki i lekko cierpki smak, są bezwonne. Długotrwałe badania udowodniły, że substancje zawarte w roślinie, takie jak: **saponiny sterydowe, flawonoidy, fitosterole, benzofurany, kwasy tłuszczowe, triterpeny, kumaryny, alkaloidy, kwas glikolowy** wspierają leczenie układu krążenia. Poprzez swoje działanie **podnoszą ciśnienie żyłne krwi, zwiększają napięcie i uszczelniają ściany naczyń krwionośnych, wzmagają przepływ krwi w żyłach, zapobiegają zastojom krwi i limfy, zapobiegają obrzękom i wysiękom okołonaczyniowym, hamują działanie enzymu elastazy (enzym trzustkowy), obniżają poziom cholesterolu. Kłącze ruszczyka uważane jest za środek czyszczący krew.**

Ruszczyk w kosmetyce

Preparaty (kremy, maseczki), zawierające ruszczyk kolczasty, stosuje się do pielęgnacji cery naczynkowej, przy zaczerwienieniach twarzy, do walki z cellulitem, pajaczkami, obrzękami i stanami zapalnymi skóry, bowiem działają one przeciwzapalnie, zmiękcza ją, nawilżająco, ujędrniająco.

Myszopłoch kolczasty w kuchni

W krajach śródziemnomorskich młode pędy przyrządza się podobnie jak szparagi. Dawniej z nasion przyrządano substytut kawy.

W Europie Zachodniej myszopłoch kolczasty znany jest pod nazwą „miotelka rzeźnika”. Nazwa pochodzi od dawnego wykorzystania twardych gałęzi tej rośliny do czyszczenia desek rzeźniczych.

Ponadto zawarte w nich olejki eterycz-



Ruszczyk kolczasty

ne były skutecznym środkiem odkażającym.

Równie przydatne były twarde i ostre gałązki do obkładania żywności w celu ochrony jej przed gryzoniami, np. przed myszami, stąd nazwa myszopłoch.

Barbara Krajewska,
Anna Mansfeld-Slaski
Fot. pixabay

Maskarada

*Maskarada wielka sprawa
Každy się przebiera
Stroi piórka puszy włosy
W rolę się ubiera*

*I podziwiasz piękne stroje
Cekiny i wstążki
Jak okładkę kolorową
Zamkniętej wciąż książki*

*Chłoniesz pozy i zapachy
Przebranych postaci
Kalkulujesz pierwszy taniec
Czy ci się opłaci*

*I próbujesz dopasować
W płasie rytm i kroki
Byle szaleć byle tupać
Nie patrzeć na boki*

*I wiruje parkiet cały
Zmieniają się pary
Rwetes wielki zgiełk i hałas
Ktoś tu rzucił czary*

*Bal się kiedyś w końcu skończy
Zrozumiesz po czasie
Byleś zwykłym uczestnikiem
Festiwalu masek*

Anna Ogrodnik



Ruszczyk kolczasty

PRAWDY POLAKÓW

PRAWDA PIERWSZA

J E S T E Ś M Y
P O L A K A M I

PRAWDA DRUGA

WIARA OJCÓW NASZYCH JEST
WIARĄ NASZYCH DZIECI

PRAWDA TRZECIA

P O L A K P O L A K O W I
B R A T E M

PRAWDA CZWARTA

C O D Z I E Ń P O L A K
N A R O D O W I S Ł U Ż Y

PRAWDA PIĄTA

P O L S K A M A T K A N A S Z A,
N I E W O L N O M Ó W I Ć O M A T C E Ż Ł E



PROJEKT DOFINANSOWANO
ZE ŚRODKÓW KANCELARII
PREZESA RADY MINISTRÓW
W RAMACH KONKURSU POLONIA
I POLACY ZA GRANICĄ 2023

Publikacja wyraża jedynie poglądy
autora/ów i nie może być utożsamiana
z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii
Prezesa Rady Ministrów i Fundacji
„Pomoc Polakom na Wschodzie”.